



Catherine Sutherland



*Po tamtej stronie
jutra*

Rozdział pierwszy

Melinda Cameron wrzuciła swoje notatki i świeżo naostrzone ołówki do torebki, po czym wyszła z biura. Zatrzymała się jeszcze na chwilę, by przejrzeć się w oszklonej ścianie redakcyjnego pokoju. Powinna była przeczesać swoje sięgające ramion włosy, ale nie było już na to czasu. Jeżeli jest się umówionym z lwem w jego jaskini, to lepiej nie rozdrażniać go spóźnieniem.

„Tak, on rzeczywiście przypomina lwa” — pomyślała. Poprawiła kołnierzyk bladoniebieskiej bluzki, wygładziła spódniczkę i zacisnęła wargi, by nadać im intensywniejszą barwę. Adam Copeland pracował w redakcji dopiero od kilku tygodni, ale przez ten krótki czas jego podwładni zdążyli się przekonać, jak bezwzględny jest szefem. Może było tak dlatego, że Copeland przejął ster dziennika „Brisbane” z nakazem podniesienia poziomu gazety.

Melinda знаła już sąd swego nowego przełożonego o kobietach pracujących w zawodzie dziennikarza. Słyszała, jak niedawno felietonista Ted Jamieson, cytując Adama, stwierdził, że dziennikarki powinny pisać jedynie artykuły dotyczące zgonów i przepisów kulinarnych.

— On pochodzi z jednej z tych konserwatywnych rodzin zamieszkujących Melbourne. Jest dobrze wychowany i trzyma się tradycyjnych wartości — wyjaśnił Ted.

Gdy Melinda zapukała do drzwi sekretariatu, przeszedł ją dreszcz. Marie Bonney przywitała ją uprzejmym uśmiechem.

— Czy on może mnie teraz przyjąć? — zapytała Melinda.

— Właśnie rozmawia z kimś przez telefon, ale to nie powinno potrwać długo. — Marie wskazała jej fotel. — Słyszałam, że zgłosiłaś się ochotniczo do pracy po godzinach. Odważna z ciebie dziewczyna.

— To nie było dokładnie tak. Ted Jamieson umówił mnie na spotkanie z pewną pielęgniarką ze szpitala miejskiego. Mam zamiar napisać artykuły na podstawie tej rozmowy. Ted za mnie poręczył...

— W takim razie — Maria, wciąż uśmiechając się, pisała na maszynie — rzeczywiście powinnaś porozmawiać z redaktorem.

— Tak, to prawdziwe szczęście, że Ted dał mi ten temat Muszę utrzymać dobry poziom. Chyba to rozumiesz.

Sekretarka kiwnęła głową.

— Oczywiście. W końcu pracuję tu blisko dziesięć lat Wy, dziennikarze, jesteście dobrzy tylko dopóty, dopóki gazeta jest dobra, potem zaś...

Melinda zaśmiała się głośno. Jej oczy zabłyśły. Popołudniowe słońce wpadające przez okno rozświetliło jej włosy, tworząc wokół twarzy złocistą woalkę.

Jakiż blask od niej bije" — pomyślała Marie. Przyglądała się delikatnym dłoniom młodej dziennikarki, przewracającym kartki notatnika w poszukiwaniu właściwej strony. Było coś w twarzy Melindy, czego Marie nie potrafiła zdefiniować. Jakiś niewidoczny, a jedynie ledwo wyczuwalny wyraz nadawał jej urodzie specyficzny charakter. Marie pomyślała, że życie tej młodej kobiety musi być pełne radości i szczęścia.

Melinda usiadła w fotelu i ołówkiem założyła stronę w notesie.

— W jakim humorze jest dziś szef? — zapytała. Marie kiwnęła niezdecydowanie ręką.

— Myślę, że w takim sobie. — Uznała, że nie byłoby najstosowniej mówić o tym, jak pan redaktor, poczawszy od piątego telefonu dzisiejszego popołudnia, odkładał za każdym razem słuchawkę z głośnym trzaskiem.

„Koniec telefonów na dzisiaj! — krzyczał. — Nie obchodzi mnie, co im powiesz. Po prostu, nie łącz mnie z nikim!”

Marie wiedziała, że mogła się wydarzyć jedna z dwóch rzeczy: albo konkurencyjna gazeta, tutejsza popołudniówka, zwiększyła nakład, albo matka dzwoniła z Melbourne, by zawiadomić szefa o „wspaniałym przyjęciu”, na którym będzie tylko kilkaset osób.

Matka Adama przygotowywała listy gości z niezwykłą starannością. Zaprosiła na pewno kilkaset najwyżej notowanych osobistości Melbourne. Marie przez tych kilka tygodni, odkąd Adam pojawił się w „Brisbane”, zdążyła się zorientować, że jego matka była kobietą niezwykle przedsiębiorczą i zaborczą. „Boże, chroń tę nieszczęsną dziewczynę, która pewnego dnia zapragnie zostać żoną jedynego syna Anne Copeland. ”

Z drugiej strony, gdyby nakład gazety spadł, Adam mógłby po niedługim czasie stracić posadę redaktora. Byłby zmuszony podjąć pracę w jakiejś fabryce, gdzie zapewne okazywałby nienawiść każdemu, kto wszedłby mu w drogę.

Marie spojrzała na twarz Melindy. Była taka ładna, taka pociągająca. Kto wie? Może ona zdoła odmienić zły nastrój szefa?

— Nie zadawaj mu pytań, na które nie będzie chciał odpowiadać. — Uśmiechnęła się do niej.

— Jakich pytań?

Marie zawahała się. Przez chwilę miała wrażenie, że to pytanie zostało wypowiedziane ze zbyt dużym zaciekawieniem. Jakby dziewczyna próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o Adamie.

— On nie lubi, hm, jak się go pyta o ten magazyn, który często ogląda — odpowiedziała w końcu. — Wiesz, jeden z tych, gdzie zamieszczone są zdjęcia...

— Nagich kobiet.

— Topless — poprawiła ją Marie. — Tak, bądź bardzo ostrożna, moja droga.

Melinda weszła do gabinetu Copelanda. Jedno spojrzenie pozwoliło jej się zorientować, że szef na pewno nie jest w dobrym humorze.

Jego zimne, szare oczy spotkały się z jej wzrokiem.

— Wiec tak — mruknął. — To ty starasz się o ten wywiad? —

Nieznacznie przeciągał słowa z akcentem typowym dla ludzi pochodzących z okolic Melbourne. — Nie stój tak. Przecież możesz usiąść, na co czekasz?

Iskierki gniewu zapaliły się w jej oczach.

„Jeżeli on dalej będzie zachowywał się w ten sposób, to... ”

Nie odważyła się jednak tego powiedzieć. Pomyślała, że skoro podniósł się z fotela, gdy weszła do gabinetu, to może będzie na tyle uprzejmy, by jej wysłuchać.

— Nie traćmy czasu — powiedział oschle. — Nie zamierzam tu spędzić całego dnia i ty chyba również. Siadaj tutaj. — Wskazał jej miejsce na kanapie, na której sam wcześniej usiadł i dodał ironicznie: — Tu będziesz zupełnie bezpieczna.

— Jeżeli pan pozwoli, wolę ten fotel. Lubię widzieć człowieka, z którym rozmawiam — powiedziała, siadając naprzeciw niego. — To ułatwia kontakt — dodała.

Trudno było powiedzieć, czy bardzo był niezadowolony z jej odmowy, gdyż nic po sobie nie pokazał.

— Skoro tak, to do dzieła. Co ty tam bazgrzesz? Przecież nic jeszcze nie powiedziałem!

— Ja... tylko... to taki mój głupi nawyk. — Uśmiechnęła się trochę dziecinnie. — Gdy jestem zdenerwowana, piszę bezmyślnie w notesie- Już kończę... Nie myślałam, że...

Copeland uśmiechnął się niewyraźnie.

— Pokaż — poprosił, wyciągając rękę.

Tego Melinda się nie spodziewała. Czuła, że się czerwieni.

— Nie bój się, przecież to nic złego. Masz coś do ukrycia? — Zabrał jej notes.

— „To było wczoraj. Zastanawiam się nad tym wywiadem... ” — zaczął czytać. Przewrócił kilka kartek i znalazł coś, co go zaciekało. Był tam rysunek, na którym Adam rozpoznał siebie. Wprawdzie na portrecie pomiędzy jego brwiami widniała mała zmarszczka, ale Melindzie udało się nadać nieco ciepła jego bladoszarym oczom. Mężczyzna na rysunku ubrany był w sportową koszulkę i przybrudzone spodnie. Siedział z nogami zanurzonymi w wodzie i łowił ryby. Nie przypominał ani trochę eleganckiego mężczyzny, pochłoniętego załatwianiem poważnych interesów. Był uśmiechniętym wędkarzem, który pragnął jedynie słonecznego nieba i kilku ryb na kolację.

Adam wpatrywał się w notatnik Melindy bardzo długo. W pokoju zapanowała głucha cisza. Melinda zaczęła gryźć paznokcie, wciąż ściskając w palcach nieszczęsny ołówek. Z lękiem oczekiwała wybuchu gniewu szefa. Wczoraj nie przeczuwała, że to może się tak skończyć. Rysowała ten portret machinalnie, podczas gdy Ted Jamieson udzielał jej rad dotyczących rozmowy z Adamem. Ted niczego nie zauważył. Myślał, że Melinda robi notatki do artykułu. Opowiedział jej wtedy trochę o Adamie. Chciał, by

napisała o jego zasługach we wprowadzaniu nowych technologii na południu kraju, a także o jego nieugiętej postawie wobec ludzi, którzy usiłują nim manipulować.

Przypomniała sobie też, jak Ted ją ostrzegał: „Przez cały czas utrzymuj bezpieczny dystans. Jak szybko potrafisz uciekać, moja droga?”

Cisza panująca w gabinecie była nie do zniesienia.

„ Jeśli to jego milczenie przedłuży się jeszcze trochę, to wpadnę w histerię” — pomyślała. Czuła, jak w jej wnętrzu nasilało się dziwne drżenie, ale starała się nie stracić panowania nad sobą.

Twarz szefa zaczęła się zmieniać. Najpierw zmarszczył brwi, a potem w jego oczach pojawił się wyraz zdziwienia. Jakby starał się wyobrazić sobie, skąd mógł przyjść komuś do głowy pomysł, by człowieka o jego pozycji ukazać siedzącego na małym stołeczku z wędką w dłoni.

Nagle Adam zaśmiał się głośno. Jego oczy zabłyśły ciepłem jak słońce wyłaniające się spoza chmur.

Melinda rozluźniła się. Trafiła w sedno. Była o tym przekonana. Do tej pory miała przed sobą opanowanego redaktora, który teraz przypominał wędkarza z rysunku.

Copeland zamknął notes i podał go Melindzie.

— Nie znam tego człowieka. Czy to twój przyjaciel? — zapytał siadając. Jego szare oczy rozświecał lekki blask. Melinda obserwowała go uważnie i odniosła wrażenie, że Copeland chce się na niej odegrać. Ciekawa była, co teraz się wydarzy.

— Chciałbym poznać tego faceta — powiedział w końcu. —
Mogłabyś to dla mnie zrobić?

Melinda czuła na sobie jego wzrok i zmuszała się do tego, by patrzeć mu w twarz.

— Osobiście nie znam go zbyt dobrze — odpowiedziała powoli. — On całe dni spędza na łowieniu ryb. Nigdy nie bywa w mieście.

— Skoro on nie może tu przyjechać, to może my go odwiedzimy? — zaproponował Copeland, uśmiechając się do Melindy.

— Być może. — Z ufnością, której w rzeczywistości nie czuła, odwzajemniła jego uśmiech. „O co mu chodzi? Czego on może chcieć ode mnie, a tym bardziej od wymyślonego wędkarza?”

— Bardzo bym tego pragnął — dodał po chwili. — Domyślam się, że to skończony łotr i lekkoduch. Zapewne nie można traktować go zbyt poważnie.

Nie wygląda na człowieka godnego zaufania. W jego oczach widoczna jest niezaradność. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jego rodzina umiera z głodu.

„Ach! — Coś w jej sercu zadrżało lekko. — Nie pomyślałam, że on może być żonaty. ” Spuściła głowę.

Gdy uniosła ją, dostrzegła na zamyślanej twarzy Adama smutek. Copeland ocknął się wtedy z za zadumy i spojrzał na Melinę.

— Wiesz, zanim tu weszłaś, siedziałem za biurkiem w obrzydliwym nastroju, zajęty milionem różnych spraw, a teraz już zapomniałem, jaki był powód mojej wściekłości i zupełnie zwyczajnie rozmawiam z tobą o jakimś głupim rysunku.

— Nigdy nie chciałam go pokazywać. Nie miałabym...

— Śmiałości? — dokończył za nią.

— Tak, śmiałości.

— Czyżbym był jakimś potworem? Myślisz o mnie w ten sposób?

— Nie, ale mógłbyś się poczuć urażony. Ludzie nie chcą wiedzieć, w jaki sposób widzą ich inni, prawda?

Takie pytania przychodziły jej z prawdziwie profesjonalną łatwością. Opłaciły się długie miesiące nauki i praktyki u Teda.

— Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że to jest tak jak z dzieckiem, które wie o tym, że jest najlepsze w klasie. Wtedy za wszelką cenę chce ono utrzymać tę pozycję i być zawsze „naj”.

— Wstał, podszedł do barku i sięgnął po szklanki.

— Czego się napijesz? Whisky? Brandy? Gin? — Gdy odpowiedziała, zaczął nalewać. — Odrobina alkoholu dobrze mi zrobi. Zwłaszcza Jeśli mam zobaczyć jeszcze inne twoje rysunki. Nie sądzę, abym był przygotowany na poznanie swojego DRUGIEGO JA.

Podał jej szklankę i usiadł.

— Nie mam już nic więcej — skłamała, wiedząc, że jest w jej notesie jeszcze jeden portret Adama.

Kilka dni temu jedna z jej koleżanek została wezwana do jego biura w związku z błędami w artykule. Gdy wyszła, stwierdziła z wściekłością: „To antyfeminista. On uważa, że kobiety nie nadają się do pisania artykułów. Dla mnie to skończony łajdak!”

Podczas gdy dziewczyna złorzeczyła szefowi, Melinda zaczęła szkicować w notatniku portret Adama z długim świńskim ryjem i lodowatym spojrzeniem. Z jego ust wypływały słowa: „Kobiety powinny siedzieć w kuchni. Nadają się tylko do seksu i niańczenia dzieci. Nie mogą równać się z mężczyznami. ”

Melinda, przypomniawszy sobie ten rysunek, zadrżała. Miała nadzieję, że Adam nie zajrzy ponownie do jej notatnika. Co by było, gdyby zobaczył ten?

— Może mógłbyś podzielić się ze mną swoją opinią na temat kobiet zajmujących się dziennikarstwem? — powiedziała, chcąc odwrócić jego uwagę od notesu.

— Cóż... — Uśmiechnął się i zamyślił na chwilę. Potem wstał, zamknął drzwi gabinetu i podszedł do monitora komputera stojącego na biurku.

— Podejdź, coś ci pokażę — zwrócił się po chwili do Melindy.

Dziewczyna zbliżyła się do komputera. Na ekranie pojawiły się teksty artykułów z wczorajszego numeru gazety. Adam zatrzymał się na notatce Melindy opowiadającej o pilotce, która została ciężko ranna w wypadku na miejscowym lotnisku.

— W tytule przytoczyłaś wypowiedź siostry przełożonej ze szpitala: „Nigdy dotąd nie miałam tak odważnej pacjentki”. — Przesunął dalej tekst. — Można to było lepiej zatytułować. Na przykład: „Będę znowu chodzić” albo „Będę znowu latać”.

Melinda pokiwała głową.

— Tak, masz rację. Dlaczego sama na to nie wpadłam?

Uśmiechnął się do niej.

— To może się zdarzyć. Nie zdążyłaś nabrać dystansu do tematu. Bardziej niepokojące jest to, że redaktor, który sprawdzał twój tekst, nie zauważył tego. Znasz takie stare powiedzenie: „Najprostszą rzeczą na świecie jest redagować wczorajszą gazetę. Gorzej jest z jutrzejszą”.

„Jest taki ładny, gdy się uśmiecha”— pomyślała.

Copeland miał około trzydziestki, ale nie wyglądał na tyle. Jego ciemna cera kontrastowała z jasnymi włosami. Coraz częściej spoglądał na nią kątem oka z zakłopotaniem, jakby gdzieś się spieszył. Melinda zaczęła odnosić wrażenie, że w ogóle przestał zwracać na nią uwagę.

— Tak, słyszałam to już — odpowiedziała z uśmiechem. — Ale nie odbiegajmy od tematu. Jeżeli dobrze zrozumiałam, uważasz, że kobiety nie dorównują mężczyznom w tym zawodzie.

— Uważaj na to, co mówisz... — Pokiwał jej palcem. — Myślę, że są dobre, ale w pewnej ograniczonej sferze. Weźmy na przykład ten artykuł o pilotce. Jest dobry, bardzo emocjonalnie napisany. Nie jest to jednak nic rewelacyjnego.

— Ale ludzie lubią czytać takie historyjki! — Melinda nie dawała za wygraną. Zastanawiała się jednocześnie, jak on zareaguje na błąd w dzisiejszym artykule. Wpisała tam jedno niewinne zdanie wypowiedziane przez sześciolletnią dziewczynkę: „Chciałabym być pilotką, jak moja mama”.

— Co miałeś na myśli mówiąc „w pewnej ograniczonej sferze”? — zapytała w końcu.

— Chciałem przez to powiedzieć, że są one lepsze w tematyce dotyczącej życia kobiet. Przedstawianie bieżących wiadomości to zadanie dla mężczyzn. Poza tym, nie można wysyłać kobiet do śmiertelnych i krwawych wypadków. Kobiety nie orientują się też w sporcie.

— Hm... Powiem to wprost — Zatrzymała się, by wziąć głębszy oddech. — Czy wiesz, że wśród kobiet pracujących w redakcji są takie, które uważają, że jesteś bezwzględnym antyfeministą?

Adam zaśmiał się głośno i odpowiedział:

— Nie pierwszy raz oskarża się mnie o to.

— Widocznie jest w tym trochę prawdy. Zapewne z tego względu nie starasz się zrobić kariery politycznej; połowa wyborców to przecież kobiety.

— Połowa kobiet myśli tak jak ja — odparł. — One zdają sobie sprawę z tego, że ich miejsce jest w kuchni.

— Ktoś ostatnio powiedział, że twoje poglądy są bardzo staroświeckie. Chyba ten ktoś miał rację.

Na chwilę nastąpiła cisza. Adam zaczął bawić się popielniczką i płatkami fioletowych kwiatów stojących w wazonie.

— Wszyscy bardzo się starają — powiedziała Melinda.

Adam zaśmiał się.

— Odwoływanie się do mojej dobroci nic tu nie pomoże. Mam nadzieję, że te moje niewinne skłonności nie zostaną uwzględnione w twoim artykule?

— Och, oczywiście, że nie. Wiesz równie dobrze jak ja, że mój artykuł będzie wyrazem głębokiego szacunku i uznania dla ciebie. — Melinda przypomniała sobie o magazynie ze zdjęciami rozebranych dziewcząt i w przyпіływie odwagi postanowiła zapytać go o to. — W jaki sposób społeczeństwo ma utrzymać wysoki poziom kultury, skoro na rynku ukazują się takie sprośne śmiecie? — Tu wskazała na kolorowy magazyn. Wzięła głęboki oddech i przygotowała się na wybuch gniewu. Ujrzała błysk w jego oczach, ale odpowiedział spokojnie i niemal szeptem:

— Ludzie mają taką prasę, jakiej oczekują. Chcą sprośnych śmieci, jak to nazwałaś, więc je mają. Uważasz, że prasa powinna stać na straży moralności? Nigdy tak nie będzie. Tu chodzi tylko o interes. Wiadomości są również towarem na sprzedaż. Nie krytykuje się przecież sklepów za to, że sprzedają skąpe stroje kąpielowe, prawda?

— To co innego.

— Doprawdy? Nie wydaje mi się. Trudno zrozumieć, skąd w społeczeństwie tyle złego smaku — odpowiedział z cynicznym uśmiechem.

— Trafne spostrzeżenie.

— Nie ja to odkryłem — spojrzał z determinacją na jej notatki. —

Wykreśl to.

— Jesteś bardzo nietolerancyjny. — Melinda nie zamierzała się poddawać.

— Nie jestem. To jedna z zalet dobrych redaktorów gazet.

Melinda zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy warto wszczynać spór. Postanowiła zmienić temat.

— Co porabiasz w wolnym czasie? — zapytała.

— Łowię ryby. To brzmi niewiarygodnie, prawda?

— W takim razie nie myliłam się — odpowiedziała z triumfującym uśmiechem. — Samotnie?

— Zawsze. Tylko w samotności ma to jakiś sens. Wówczas mogę powiedzieć, że odpoczywam.

— Przeszkadzałoby ci towarzystwo?

— W samotności można skompromitować się tylko przed samym sobą.

— Nigdy nie brakowało ci obecności kogoś bliskiego?

— Ależ owszem. Czasami czuję się bardzo samotny. — Obserwował ją uważnie. — Czy ty także?

Wolałaby, żeby nie patrzył na nią w ten sposób. W jego wzroku dostrzegła pożądanie.

„Czego on ode mnie oczekuje? Czy liczy na krótki romans, potajemny i plugawy epizod, który skończy się, gdy zacznę go męczyć? Gdy znudzą go nasze rozmowy i miłość? Czy ofiaruje mi przy rozstaniu kosztowny prezent na pocieszenie?” — zastanawiała się Melinda.

— O czym ty, do diabła, myślisz? — jego głos przywołał ją do rzeczywistości.

— Zamyśliłam się. Przepraszam — wyjąkała.

— Wyglądałaś bardzo zabawnie.

— Przepraszam, myślałam...

— Tak?

— To nieważne — odpowiedziała.

Melinda od kilku godzin siedziała nad swoim artykułem. Napisała już wszystko, co powinna była napisać na temat kariery Adama, ale nie wszystko, co chciała napisać. Dopisała więc podtytuł: „Mniej znana twarz Adama Copelanda” i zaczęła pisać o jego upodobaniu do wędkarstwa i potrzebie samotności. Tekst artykułu został umieszczony pod rysunkiem przedstawiającym wędkarza. Melinda dorysowała do swego pierwotnego szkicu urwisty brzeg, skały i trochę zieleni.

Gazeta wyszła w piątek, a w godzinę po jej ukazaniu się Melinda została wezwana do biura szefa. Czekala teraz, siedząc obok Marie, nękana różnymi myślami.

„Musi być wściekły — myślała. — Dlatego mnie wezwał. Zapewne zaraz przeklnie mnie za to, że zrobiłam z niego pośmiewisko. Najbardziej rozgniewał go chyba ten rysunek. Jeżeli mnie nie zabije, a tylko wyrzuci, to spróbuję znaleźć pracę na południu. Nie, nie będę mogła tego zrobić. Będę przecież na czarnej, liście. ”

Gdy otworzyła drzwi, Adam niezadowolonym tonem mówił do słuchawki:

— Nie, nie mogę. W sobotę i niedzielę będę zajęty. Ile razy mam ci to powtarzać. Powiedziałem „nie” i na tym poprzestane. — Rzucił słuchawkę i spojrzał na Melinę. — Ach, to TY.

Zadrzała lekko, spodziewając się najgorszego.

— Źle to zrobiłaś — powiedział.

Kolana zaczęły się pod nią uginać. Copeland wyglądał na strasznie zagniewanego. Przerzął ją.

— To wszystko było w informatorach. Sprawdzalam trzy razy... — zaczęła się bronić.

— Nie skonsultowałaś się ze mną — odparł.

— Nie, ale to wszystko było w informatorach. Gdzie jest błąd? Pomyliłam jakieś nazwiska, dane? Jesteś tu dopiero od dwóch miesięcy, nawet..

— Nie o to mi chodzi, mówię o rysunku.

— O rysunku? Masz na myśli to, co do niego dorysowałam?

— Tak.

— Skąd mogłam wiedzieć? Musiałam JAKOŚ narysować ten brzeg. Nigdy nie widziałam tego miejsca... — Głos jej się załamał, a z oczu zaczęły płynąć łzy. Ukryła twarz w dłoniach. — Przykro mi, że ci się to nie podoba... Nie powinnam była tego pisać i nie powinnam była zamieszczać tego rysunku... — Wybuchnęła płaczem, gdyż nie mogła dłużej zachować spokoju. Odwróciła się i podeszła do okna. — Musisz być wściekły na mnie. Teraz cię rozumiem, ale wtedy nie zastanawiałam się nad tym. — Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

Była tak przerażona, że nie słyszała nawet, jak Adam wstał i podszedł do niej. Nagle poczuła na ramionach jego dłonie.

— Przepraszam — powiedział. Opuścił głowę i zbliżył twarz do jej włosów. — Nie chciałem, żeby to tak ostro zabrzmiało. — Wziął od niej chusteczkę i zaczął wycierać z jej policzków łzy. Melinda nie potrafiła wymówić ani słowa. — Tekst jest bardzo dobry. Bardzo oryginalny — mówił stłumionym głosem. — Podoba mi się. Mógłbym nawet... odwołać to, co powiedziałem o kobietach.

— Podoba ci się? — Zrobiła mały krok w tył. Uśmiechnęła się z niedowierzaniem. — Miałam wrażenie, że jesteś wściekły...

— Byłem, ale nie z twojego powodu. Chodziło o coś innego. Kobieta z jakiegoś towarzystwa starała się przydzielić mi w nim pewną funkcję. Powiedziała sekretarce, że jest przyjaciółką mojej matki. Nie mogłem się jej pozbyć.

— Ach. — Twarz Melindy rozpogodziła się. — Myślałam, że to przez ten artykuł. Myślałam, że wezwałeś mnie tu, żeby... Widzisz, pisząc miałam jakieś przeczucie, że to powinno wyglądać właśnie tak. Nie wiem dlaczego. Po prostu, miałam wrażenie, że tak będzie najlepiej.

— I tak jest. Wezwałem cię, żeby ci właśnie o tym powiedzieć. To dobrze, że nie chciałaś opisać swego szefa jedynie za pomocą przymilnych pochlebstw. Jest w tobie dużo odwagi. Nigdy jej nie strać.

— Dobrze, szefie.

— Nie mów do mnie „szefie”.

— Więc jak?

— Masz coś przeciwko temu, żeby mówić do mnie „Adam”?

— Mogę mówić do ciebie „panie Copeland”.

— Nie sądzę, by było to możliwe, gdyż właśnie mam zamiar zapytać cię, czy nie wybrałabyś się ze mną gdzieś jutro w roli przyjaciółki...

— Ach?

— Nie chcesz? Zawahała się.

— Tak, ale ja... — Uśmiechnęła się i spojrzała na niego. — Zgadzam się.

— Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś wybrać się ze mną na ryby.

— Ależ ja myślałam... że ty jeździsz tam w poszukiwaniu samotności. Wrócił do biurka, usiadł i spojrzał na nią.

— Postanowiłem zrobić wyjątek.

Melinda wiedziała, co to znaczy. Adam patrzył na nią w taki sposób, że krew w jej żyłach zaczęła szybciej krążyć. Żeby ukryć zmieszanie, podniosła swój notes i ołówek, jakby miała zamiar już wyjść. Była przy drzwiach, kiedy Adam zawołał ją.

— Tak? — Zatrzymała się z ręką w kłamce.

— Nie wiem, gdzie mieszkasz — powiedział. Podała mu adres.

— Będę tam jutro o szóstej. Bądź gotowa. I jeszcze coś.

— Tak?

— W czasie łowienia ryb nie wolno ci nic mówić.

— Będę pamiętała.

— I jeszcze...

— Tak?

— Gdy zapłacze ci się żyłka od wędki, nie wolno ci jej ruszać bez mojej pomocy.

— Tak, szefie.

— Adamie! — krzyknął.

— Adamie — zaczęła niepewnie. — Jest coś... chciałabym, żeby to było jasne... — mówiła, patrząc mu prosto w oczy.

— Tak? — Jego prawa brew uniosła się lekko.

— Bardzo szanuję twoją przyjaźń, ale...

— Tak? — Jego oczy zabłyśły. Domyślał się, o co chodzi.

Zaczął porządkować jakieś papiery na biurku. W końcu je zostawił i spojrzał na Melindę, uśmiechając się delikatnie.

— No, więc?

— Nie wiem... to. Mam nadzieję, że nie spodziewasz się...

„Nie, to jest bez sensu — pomyślała. — Dlaczego właśnie teraz brakuje mi słów?”

— Czekam — ponaglał ją.

Melinda zrobiła ruch, jakby chciała otworzyć drzwi, ale zatrzymał ją głos Adama.

— Nie wychodź. Odwróciła ku niemu głowę.

— Zależy mi na twojej przyjaźni. Nigdy nie poproszę cię o coś, czego nie będziesz chciała mi dać. Rozumiesz?

— Tak, szefie — powiedziała, otwierając drzwi.

Adamie... — poprawił ją znowu. Adamie — odpowiedziała.



Rozdział drugi

Melinda i Adam przyплыnęli promem na North Stradbroke Island, gdzie dotarli do wąskiej, skalistej zatoki. Fale uderzały o brzeg maleńkiej plaży z jednej strony osłoniętej skalistą ścianą. Wypakowali rzeczy z samochodu, po czym zaczęli iść ku morzu. On ujął jej dłoń i pomógł jej przeskakiwać ze skały na skałę. Stanęli na najbardziej wysuniętej, tak małej, że ledwie mogli się na niej zmieścić we dwójkę.

— Bądź ostrożna! — krzyknął do niej. — Jeżeli spadniesz, fale rzucają cię na skały.

Adam pogwizdywał cicho, zajęty wyjmowaniem haczyków i pływaków. Wybrał przynętę i przyciął ją za pomocą długiego noża. Melinda zarzuciła wędkę. Po chwili żyłka naprężyła się mocno. Dziewczyna wyciągnęła z wody grubego leszcza. Zdjęła go z haczyka, zabiła i wrzuciła do kubła z lodem.

W końcu zaczął nadchodzić przyływ. Był to znak, że należy wracać na plażę. W drodze powrotnej Adam pokazał Melindzie kępkę karłowatych drzewek, skąd wypływało źródło słodkiej, czystej i bardzo zimnej wody. Zatrzymali się właśnie w tym miejscu. Złowili wystarczająco dużo ryb, by przygotować obiad. W tym celu rozpalili ognisko w niewielkim zagłębieniu skalnym. Pieczona ryba zaprawiona dymem i gorąca kawa z orzechami smakowały im wyśmienicie.

Adam położył się na kocu, opierając głowę na poduszce. Patrzył w niebo. Wyglądał na bardzo zadowolonego. Melinda zauważyła, że powieki zaczęły mu opadać, aż w końcu zamknęły się zupełnie. Zebrała talerze i

filizanki i umyła je w źródelku. Potem wytarła je i schowała z powrotem do koszyka. Na koniec sprzątnęła papiery i resztki obiadu.

Postanowiła przejść się po plaży. Gdy dotarła do urwiska, wspięła się na skałę i usiadła twarzą ku morzu. Wiatr rozwiewał jej włosy. Pomyślała, że dobrze się czuje w towarzystwie Adama. Tak jak i on, bardzo potrzebowała samotności. Uśmiechnęła się do siebie. W tej chwili miała uczucie, jakby morze, niebo i ziemia należały do niej. Jedynymi poruszającymi się w zasięgu wzroku istotami były krążące mewy i stadko morskich świnek figlujących pośród kamieni.

Gdy Melinda wróciła do kępy drzew, zobaczyła, że Adam wciąż śpi. Leżał owinięty w koc, który chronił go przed chłodem wiatru. Poruszył się nieco, gdy dziewczyna usiadła obok niego. Potem przez sen zamruczał niezrozumiale coś, co brzmiało jak imię. Wyciągnął jedną rękę spod koca i położył na pustym miejscu obok siebie, jakby chciał coś objąć, dosięgnąć.

Melinda siedziała za daleko, by mógł jej dotknąć dłonią. Powiedział coś znowu, ale i tym razem nie usłyszała wyraźnie. Może brzmiało to jak „Glenda” albo „Amanda”. Jego ramię wciąż obejmowało puste miejsce.

Poczuła się jakoś nieswojo. Tak jakby zaczęła grzebać w jego biurku i czytać listy z napisem „Prywatne”. Powinna go zostawić, odejść stąd. To przecież nie jej sprawa, czyje imię wymawiał przez sen i kogo usiłował przygarnąć. Wiedziała, że nie chciałby, aby widziała go w takiej sytuacji, więc zeszła znów ku morzu. Oglądała muszle, kolorowe kamyczki i meduzy wyrzucone na brzeg.

Gdy wróciła, Adam już nie spał.

— Wyglądasz na zasmuconego — powiedziała i zaczęła na nowo rozpalać ognisko, by zaparzyć kawę.

Gdy spojrzała na niego po raz drugi, zauważyła w jego oczach rezerwę. Zajęła się parzeniem kawy, gdyż wiedziała, że nie chciał, by zauważyła, jak starał ukryć ból, który wciąż było widać w jego oczach.

Melinda siedziała w swoim mieszkaniu przy biurku i myślała o Adamie. Przeglądała swój notatnik. Wzięła do ręki ołówek i zaczęła coś starannie rysować. Na jej kartce pojawił się coraz wyraźniejszy obraz. Skalista plaża i spienione fale uderzające o brzeg. Mężczyzna leżący na kocu. Na jego czole małe zmarszczki, brwi zrosnięte, dolna warga lekko odchylona. Twarz mężczyzny wyrażała smutek.

Melinda patrzyła na rysunek przez długą chwilę, potem poprawiła coś tu i tam, dodała jeszcze jedną kreskę pomiędzy brwiami. Tak jakby poprzez doprowadzenie do perfekcji tego szkicu chciała znaleźć odpowiedź na wciąż dręczące ją pytanie: Kim była Glenda czy też Amanda?

Nazajutrz w biurze starała się ze wszystkich sił nie myśleć już o Adamie. Próbowwała skoncentrować się na pracy. Zapisała w notesie, że musi przedstawić redaktorowi pomysł serii artykułów o ludziach pracujących nocą.

Kiedyś ktoś już pisał na ten temat, ale ona miała kilka nowych pomysłów, dzięki którym mógłby powstać interesujący cykl. Melinda zamierzała przeprowadzić rozmowy z ciekawymi ludźmi. Jedną z takich osób był John Fenton, który pracował w dyrekcji teatru. Należała do niego organizacja tras wyjazdowych zespołu teatralnego. Często zdarzało się, że po północy John pracował w swoim biurze w teatrze, mieszczącym się w zabytkowym kościele, którego atrakcją był zamieszkujący w nim duch. Ta historia mogłaby się spodobać czytelnikom. Melinda знаła także pewną pielęgniarke, która nocami w szpitalu robiła sekcje zwłok. Można by ponadto porozmawiać z ludźmi sprzątającymi ulice, z kierowcami nocnych

autobusów. Możliwością było nieskończenie wiele. Należało jednak wszystko dokładnie przemyśleć i ułożyć plan działania.

Melinda postanowiła spędzić jedno popołudnie z Johnem i napisać pierwszy artykuł właśnie o nim. Potem pomyśli o innych. Na pewno będą na tyle dobre, że będą mogły ukazywać się co tydzień. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, aby nie były nudne i nie zostały okrojone do kilku zdań na ostatniej stronie.

John był wysokim, nieco otyłym, rudowłosym mężczyzną. Palił fajkę, którą trzymał w zębach, nawet gdy mówił. Chętnie opowiadał o swojej pracy, która dawała mu olbrzymią satysfakcję.

Wywiad udał się Melindzie wspaniale. Mimo że miała właśnie wolny dzień, przyszła do pracy. Za te artykuły mogła dostać sporo pieniędzy. Musiała je jednak napisać w wolnym czasie. Siedziała nad tym już ponad godzinę. Tekst był prawie gotowy. Przeczytała go raz jeszcze, zadowolona z siebie, a przede wszystkim z ciekawych odpowiedzi Johna. Jak większość ludzi pracujących w przemyśle rozrywkowym, nie należał do osób wstydliwych.

Melinda musiała to jeszcze wykorzystać, lecz teraz była już zmęczona. Sięgnęła ręką do kontaktu, ale zanim zdążyła zgasić światło, poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Gdy odwróciła się, ujrzała uśmiechniętą twarz Adama.

— Czas na kawę — powiedział.

Wyszli razem z pokoju. Zauważyła, że wiele osób przygląda im się z zaciekawieniem. Po ich wyjściu bez wątpienia wszyscy będą rozmawiać tylko o tym. Trudno o lepszy temat do plotek. Melinda zastanawiała się, czy Adam pomyślał o tym, zanim po nią przyszedł. Nie znała go jeszcze zbyt dobrze, ale domyślała się, że nie zaproponowałby jej spotkania poza

redakcją, gdzieś w dalekim zakątku parkingu tylko po to, by uniknąć wzroku gapiów.

Ale co ją jutro czeka w biurze? Insynuacje, ostrożne pytania, uśmieški za jej plecami. Bolesne, jadowite słowa wplecione w treść codziennych rozmów.

„Nie trzeba będzie długo czekać, a znajdzie się w łóżku szefa, zobaczycie!” — powie któryś z kolegów. — „Cóż, takie są zasady. Są różne sposoby na zdobycie awansu.” Reszta pokiwa ze zrozumieniem głowami. Ale to będzie jutro. Teraz siedziała w samochodzie obok Adama.

— Pierwszy raz mi się to zdarzyło — powiedział, gdy wyjeżdżali poza miasto.

— Co takiego?

— Że wyjechałem z redakcji przed ukazaniem się gazety.

— Cóż — odpowiedziała z uśmiechem. — W takim razie oboje zrobimy sobie wagary. Ja też zostawiłam nie skończoną pracę.

— To co innego. Ty masz dziś dzień wolny. Robiłaś to po godzinach.

— Skąd o tym wiesz?

— Sprawdziałem listę. Nie byłaś na dziś wpisana. Dzwoniłem do ciebie do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Poszedłem więc do redakcji i tam cię znalazłem.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Gdy minęli zajazd „Chermside”, samochód zwiększył prędkość.

— Możesz mi powiedzieć, dokąd właściwie jedziemy? — zapytała. — Czy może wolisz to utrzymać w tajemnicy?

— Chciałbym cię zabrać na wyspę Bribie; Mam ochotę znów znaleźć się nad morzem.

— Podoba mi się ten pomysł.

— I tego się spodziewałem.

Wyjechali na drogę położoną tuż nad brzegiem oceanu. Ostry wiatr wzburzył wodę i kołysał rosnącymi wokół sosnami.

— Chodźmy — powiedział, otwierając jej drzwi. Podał jej ramię i zaproponował spacer brzegiem morza na drugą stronę wyspy.

Melinda musiała iść szybko, by dotrzymać kroku Adamowi. Wyszli poza główną plażę. Przy brzegu widać było nieliczne domki, w większości zaciemnione. Ogrodzenia ciągnęły się przez cały wąski pas plaży. W oddali widać było skały. Wśród muszli i głazów sterczały wraki wyrzuconych przed wiekiem statków.

Gdy Melinda poczuła się zmęczona, wrócili do samochodu. Zamknęli dokładnie okna, chroniąc się przed zimnym wiatrem wiejącym od morza.

— Co teraz? — zapytała. — Jedziemy do domu? Obiecałeś mi kawę.

Adam odwrócił się ku niej i ujął jej twarz w dłonie. Zaskoczona, nie wiedziała, co ma zrobić. Próbowwała uwolnić głowę, ale bez powodzenia. Adam spoglądał jej prosto w oczy.

— Czy to ma być wstęp do namiętnych wyznań?

— Nie — odpowiedział.

Minuty mijały, a on wciąż patrzył jej w oczy, jakby oczekiwał, że znajdzie tam odpowiedź na jakieś ważne pytanie.

— Gdzie pracowałaś przed przyjazdem do Brisbane? — zapytał w końcu.

Melinda zawahała się. „Czego on, na Boga, ode mnie chce?” — pomyślała. Adam zadał jej pytanie, na które nie miała ochoty odpowiadać.

Rozdział trzeci

— Przedtem pracowałam w pewnym czasopiśmie dla kobiet wydawanym na południu. A wcześniej... — Melinda zawahała się.

— Tak?

— Zaczynałam w jednym z dzienników. Potem odeszłam stamtąd i...

— Nie pytam o to, gdzie zaczynałaś.

— Przez jakiś czas mieszkałam w Sydney. Pracowałam tam dla innego dziennika i wtedy...

— Tak?

Najwyraźniej dawał jej do zrozumienia, że zależy mu na tej informacji, jednakże ona starała się uniknąć odpowiedzi.

— Ja... ja naprawdę nie chcę o tym mówić.

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem być natrętny. Chodzi o to, że...

— O co?

— Czasami wyglądasz na bardzo zmęczoną. — Znow przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał: — Zapomnij o tym pytaniu.

Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się. „Jak dobrze się stało, że to nie Adam, ale jego poprzednik mnie zatrudnił. Tamtemu moje wymijające odpowiedzi w zupełności wystarczały. Z Adamem nie poszłoby mi tak łatwo. ” — pomyślała.

— Gdzie napijemy się kawy? — zmienił temat. — U mnie czy u ciebie?

— U ciebie. Jestem głodna, a nie mam już dziś ochoty gotować*.
Może mógłbyś zrobić dla mnie jakiś omlet?

— Doprawdy? — Uniósł brwi. — Co ci przyszło do głowy? Miałbym smażyć dla ciebie omlet, w dodatku o tej porze?

Melinda z zadowoloną miną odłożyła talerz.

— To było wspaniale — pochwaliła go.

Gdy odpoczywali przy kawie, rozejrzała się wokół i spytała:

— Jak długo tu mieszkasz?

Jej wzrok przykuwało ciemne cedrowe biurko, na którym stały różne pudełka w kolorze intensywnej zieleni.

— Jakies dwa miesiące. Wprowadziłem się tu niemal zaraz po przyjeździe z Melbourne.

— Czy ty... — Zatrzymała się na chwilę. — Czy decyzję o przyjeździe tutaj podjąłeś nagle, czy też planowałeś to wcześniej? — W myślach dodała: "Wyjechałeś stamtąd ze względu na Glendę czy Amandę?"

— Ja... — Był w kuchni. Parzył następną porcję kawy. Teraz wszedł do pokoju, trzymając w obu dłoniach filiżanki. Usiadł koło niej. — To się stało bardzo szybko. Faktycznie nie planowałem tego, po prostu nadarzyła się okazja i wykorzystałem ją.

Po wypiciu kawy uprzątnęli stół, a Adam zabrał się do zmywania naczyń. Melinda przyglądała się mu uważnie.

— Nie wyglądasz jak redaktor gazety w tym fartuszku.

— Nie mów nikomu, że widziałas mnie w takiej sytuacji.

— Nie masz do mnie zaufania po tej historii z wędkarzem — powiedziała, ustawiając talerze.

Adam wytarł ręce w ręcznik i odwrócił się ku niej.

— Nie wiem, co mnie bardziej przeraziło: odkrycie przez ciebie mniej znanej twarzy Adama Copelanda czy ten zaskakująco trafny rysunek.

Melinda rzuciła swój ręcznik, ale nie trafiła do kosza. Upadł na podłogę prosto pod nogi Adama. Jednocześnie pochylili się, by go podnieść. Roześmieli się.

— To niezwykle, że nie trafisz w tak duży kosz z odległości dwóch metrów. — Adam podszedł do niej i ujął jej rękę. Przez cały wieczór wiedziała, że taka chwila prędzej czy później nastąpi. Teraz, gdy to się stało, on jakby zaczął się wahać. Spuściła głowę.

— Co byś zrobiła, gdybym teraz... — powiedział po chwili.

Wciąż trzymał jej dłonie, ale sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Wyczuła, że coś jest nie tak.

Pożądanie, które pojawiło się w oczach Adama, zniknęło nagle. Melinda dostrzegła w jego zachowaniu rezerwę. Oboje wiedzieli, że istnieje coś, co nie pozwala im się zbliżyć. Melinda pomyślała o kobiecie, której imię Adam wymawiał przez sen na plaży.

— Późno już — powiedziała cicho. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odwiesz mnie do domu.

Gdy wsiedli do samochodu, Melinda wróciła myślami do tego, co wydarzyło się przed chwilą w domu. Spoglądała ukradkiem na Adama. Jego profil wyraźnie rysował się na tle świecących neonów handlowego „Fertitude Valley”.

Adam wydawał jej się teraz taki daleki. Co odmieniło go tak nagle? Gdzie podziała się jego radość? Czy zrobiła lub powiedziała coś, co mogło go urazić? Melinda usiłowała przypomnieć sobie ostatnią rozmowę z Adamem. Była jednak pewna, że nie popełniła żadnego błędu. Nagle znowu przyszła jej na myśl kobieta, która pojawiła się we śnie Adama. Kimkolwiek była i gdziekolwiek była, jedno było pewne: Adam nie potrafił wyrzucić jej z pamięci. Nawet tego wieczoru, gdy czuli się tak sobie bliscy, w jego

myślach wciąż była obecna tamta kobieta. Nie mógł o niej zapomnieć nawet na krótką chwilę.

„Co on sobie wyobraża? Kim, według niego, jestem? Tanią dziwką, gotową wskoczyć mu do łóżka na każde zawołanie? Oto on, siedzi teraz za kierownicą i dociska pedał gazu, jakbyśmy nie dość szybko jechali” — myślała Melinda, tłumiąc w sobie gniew.

Gdy dotarli na miejsce, wysiadła z samochodu, zanim Adam zdążył wysiąść i otworzyć jej drzwi.

— Nie musisz odprowadzać mnie dalej — powiedziała, trzymając wysoko głowę.

Usłyszała głębokie westchnienie. Czy było ono wyrazem ulgi? Może Adam obawiał się, że w mieszkaniu Melindy spotkałby się z chłodną obojętnością z jej strony?

Odjechał, zanim zdążyła otworzyć frontowe drzwi budynku. Gdy weszła do mieszkania, zapaliła światło, rzuciła na stół torebkę, opadła na kanapę i wybuchnęła płaczem. Po chwili postanowiła wziąć się w garść. Połknęła tabletkę aspiryny w nadziei, że uśmierzy ona dotkliwy ból głowy.

Melinda była przekonana, że nie chce już widywać się z Adamem. Czowała się bardzo zmęczona całą tą sytuacją i chciała z tym skończyć.

„Problem w tym — pomyślała, sięgając po filiżankę z herbatą — że tak naprawdę to chcę widzieć go raz jeszcze. Zobaczyć jego miękki uśmiech i spojrzeć w te głębokie, szare oczy. ” To pragnienie opanowało całkowicie jej myśli. Mieszkanie wydawało się takie puste. Książki, kwiaty w doniczkach nie cieszyły jej, tak jak dawniej. Wówczas uświadomiła sobie, że przecież nie sposób będzie uniknąć spotkania z Adamem w biurze.

"Dobrze więc- powiedziała sobie. — Niech tak będzie. "

Gdy spotka go na korytarzu, spojrzysz mu w oczy i pójdziesz dalej. Gdy on zacznie znowu szukać jej towarzystwa, powie mu... Co mu powie? Że jest już umówiona, że jest zajęta... A może wyjawi mu prawdę? Wyzna, że wbrew zdrowemu rozsądkowi, kompletnie się w nim zakochała.

Stała w sypialni rozbierając się. W pewnym momencie potrząsnęła głową. Nie, nie może mu o tym powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Nie może mu powiedzieć prawdy o sobie. Przypomniała sobie kłopotliwe pytania zadawane jej dziś wieczorem przez Adama. Musiałaby mieć do niego większe zaufanie, by wyjawić mu rzeczy, o których sama chciała zapomnieć, a które teraz znów odżyły w jej pamięci. Przeróżające obrazy z przeszłości, strach, że jest się bliskim szaleństwa.

Położyła się spać. We śnie ujrzała zatrważającą, a jednocześnie znaną jej skądś scenę:

SAMOCHÓD RUSZYŁ. STARAŁA SIĘ BIEC, ALE JEJ NOGI BYŁY JAKBY Z WATY. MUSIAŁA DOSTAĆ SIĘ TAM, ZANIM... KTOŚ KRZYCZAŁ.

Obudziła się drżąca i spocona. Nie była w stanie uspokoić się i zasnąć ponownie. Resztę nocy spędziła nad książką. Było jeszcze ciemno, gdy wstała i wzięła prysznic. Miała mętlik w głowie. Nogi uginały się pod nią. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

„To przez złe odżywianie — pomyślała. — Wciąż pędzę tu i tam, siedzę nad tekstami, ledwo znajdując czas na przełknięcie czegoś. Koniec z frytkami. Koniec z twardymi pasztecikami. Koniec ze słodkimi, zimnymi napojami. Muszę zacząć dbać o siebie. Za chwilę coś zjem i na pewno poczuję się lepiej. ”

Sięgnęła do lodówki i wypila butelkę soku pomidorowego. Później idąc ulicą, czuła Jak bardzo jest osłabiona. Właśnie odbywała się parada z

okazji Dnia Weterana, upamiętniająca desant wojsk Australii i Nowej Zelandii na turecki półwysep Gallipoli w 1915.

Dziesiątki lat upłynęły od tego czasu. Żyło już tylko kilku weteranów tamtych wojen.

To był dobry dzień na pisanie interesujących opowieści. Melinda mogła znaleźć tu niejednego zachrypłego staruszka, zdecydowanego opowiedzieć o swych dawnych przeżyciach.

Po kilku rozmowach ze starymi żołnierzami miała już niemały plik opowiadań. Nagle zauważyła grupkę jaskrawo ubranych nastolatków, stojących na chodniku. Głośno naśmiewali się z maszerujących.

„Tak, to jest temat na jeszcze jeden artykuł” — pomyślała. Podeszła do nich i zadała im kilka prowokujących pytań na temat Dnia Weterana.

— To zgraja śmieciarzy — mówili. — Powinno się skrócić męki tych staruszków. Spójrz na tego, szczeka mu opada, cały się trzęsie...

Później, gdy było już za późno, Melinda uprzytomniła sobie, że złamała podstawową zasadę dziennikarstwa: zaangażowała się w tę sprawę emocjonalnie.

Zdrętwiała z przerażenia, widząc, jak roztrzepana blondynka rzuca w jednego z weteranów zepsutym pomidorem. Melinda ujrzała łzy napływające do zmęczonych niebieskich oczu staruszka. Sok z pomidora ściekał z jego starannie oczyszczonego munduru.

— Czy zdajesz sobie sprawę — krzyknęła do blondyny — że możesz spokojnie spacerować i rozmawiać w tym szczęśliwym kraju właśnie dlatego, że tysiące takich jak on straciło życie na wojnie? Ciebie to w ogóle nie wzrusza, prawda? Idiotka! — Melinda obrzuciła ją jeszcze innymi wyzwiskami i uderzyła kilka razy. Wtedy wtrącił się do kłótni jeden z towarzyszących dziewczynie punków.

Dopiero po kilku minutach Melinda uświadomiła sobie z przerażeniem grozę tej sytuacji. Czowała się upokorzona, gdy wraz z resztą wmieszanych w bójkę nastolatków wsadzono ją do wozu policyjnego.

Była pewna, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Adama, gdy pojawił się na posterunku, by ją stamtąd zabrać. Och, jakież on był grzeczny i uprzejmy wobec policji. Kilka trafnie dobranych słów i obietnica, że jego reporterzy nigdy już nie dadzą się wciągnąć w aferę.

— Tę młodą kobietę głęboko poruszył widok upokorzonego weterana. Była zbyt porywcza, ale to się już więcej nie powtórzy — obiecał.

Na koniec obdarował ich rozbajającym uśmiechem. Melinda odetchnęła z ulgą i wsiadła do samochodu, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć.

— No, tak. — Spojrzał na nią uruchamiając silnik. — Nie masz zamiaru podziękować mi za wyciągnięcie cię z pudła?

— Przepraszam — zaczęła drżącym głosem. — Naprawdę, nic nie mogłam poradzić. Gdybyś widział tego biednego staruszka. On płakał.

— Zadzwoił do mnie twój fotograf. To zastanawiające. On wolał nie pchać się w kłopoty; interesowało go tylko zrobienie kilku ciekawych zdjęć.

— Dałam się ponieść emocjom.

— W twojej pracy nie wolno angażować się w takie sprawy emocjonalnie. Kto zaczął bójkę? Któryś z nich?

— Nie — odpowiedziała cicho. — Ja.

— Wiesz. — Znowu spojrzął na nią. — Wyciągnąłem cię z kłopotów, ale za to będę musiał zlecić ci napisanie serii artykułów zatytułowanych „Moje życie wewnętrzne”.

Melinda spojrzała ukradkiem na Adama. Zauważyła lekko uniesiony kącik jego ust, co pozwoliło jej sądzić, że Adam nie był aż tak rozgniewany, jak mógłby na to wskazywać ton jego głosu.

W biurze napisała artykuł o przebiegu parady, włączając do niego kilka zdań ze zwierzeń weteranów. Uznała, że tekst jest dobry i na pewno spodoba się czytelnikom.

Nie była jednak całkowicie usatysfakcjonowana. Gdy myślała o tych nastolatkach, wzbierał w niej gniew i miała wtedy ochotę głośno krzyczeć. Fotograf zrobił kilka dobrych zdjęć. Jedno przedstawiało dłoń Melindy przyłożoną do policzka jasnowłosej dziewczyny. W tle widać było staruszkę wycierającą chusteczką swój mundur.

— Dobra robota. — Uśmiechnął się Adam. — Jeżeli już skończyłaś, to wyjdźmy stąd.

Melinda zauważyła, że jego ucieczki z pracy zaczęły się powtarzać z niezwykle regularnością. Poza tym, zawsze wychodził razem z nią. Pojechali do niego coś zjeść. Pizza była gorąca, miękka i znakomicie smakowała z winem. Adam włączył gramofon i nastawił płytę z „Adagio” Albinoniego. Potem wyszedł do kuchni, by zaparzyć kawę.

Gdy wrócił, usiadł przy Melindzie i objął ją ramieniem. Przypomniła sobie tamten wieczór, kiedy odwiózł ją do domu.

— Jeśli chodzi o ostatni wieczór... — zaczęła.

— Tak?

— Dlaczego wtedy nie...

— Nie pytaj o to teraz.

Jego pocałunek był delikatny i przekonywujący.

— Skąd ta zmiana? — zapytała.

— Nie przeszkadzaj mi, gdy się koncentruję.

Przyciągnął ją do siebie, ale ona wysliznęła się z jego objęć i usiadła na drugim końcu sofy. Przysunął się do niej i ponownie ją pocałował. Serce zaczęło jej bić szybciej. Miała wrażenie, że wymawiając jego imię, jeszcze bardziej go podnieca.

Nagle zaczęła odczuwać coś, co nie pozwalało jej cieszyć się bliskością ukochanego mężczyzny. Próbowала się rozluźnić, ale bez rezultatu. Narastał w niej gwałtowny, nie dający się powstrzymać gniew.

— Och, Adamie... !

— Pozwól mi... — wyszeptał, dostrzegając zmianę w jej zachowaniu.

— Adamie, ja... — starała się mu coś wytłumaczyć.

— Co takiego?

— ... nienawidzę! Nienawidzę!

Jeszcze raz usiłowała stłumić w sobie ten gwałtowny, irracjonalny gniew. Nagle wbiła swe długie paznokcie w dłonie Adama. Ten syknął z bólu i mocno złapał Melindę za ręce. To wyrwało ją z dziwnego transu. Patrzyła na Adama, zastanawiając się przez chwilę, czy mógłby ją uderzyć. Cofnęła się trochę, ale on wciąż zaciskał dłonie na jej nadgarstkach, by nie mogła go już podrapać.

Spojrzała w dół i ujrzała pręgi na jego dłoniach. Jeszcze przez długą chwilę trzymał jej ręce. Uwolnił je dopiero wtedy, gdy nie dostrzegał już w oczach Melindy gniewu. Wtedy wstał i nalał sobie whisky.

Stal ze szklanką w ręku, odwrócony do Melindy plecami i zapatrzony w okno.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytał, nie odwracając głowy.

Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa. Zupełnie zaschło jej w gardle.

— Nalej mi też — powiedziała.

Przyglądała się, jak przechodził przez pokój do barku. Gdy brała od niego szklanę z drinkiem, poczuła na dłoni muśnięcie jego palców.

— Zadałem ci pytanie — powiedział siadając. Patrzyła na niego przez szkło. Opróżniła szybko

szklanę i odstawiła ją na stolik.

— Proszę o jeszcze jeden.

— Nalej sobie sama.

Zrobiła sobie drinka, po czym wyciągnęła z szuflady watę i wodę utlenioną. Podeszła do Adama i zaczęła przemywać jego *dłoń*. Przyglądał się temu przez chwilę, ale zaraz wyrwał rękę ze złością.

— Zostaw to.

Odniosła watę i wodę na miejsce.

— Dlaczego, Melindo? Milczała jeszcze przez chwilę.

— Jestem zmęczona — odpowiedziała. — Boli mnie głowa.

Przepraszam cię za to, co zrobiłam.

— Przepraszasz. Chcę wiedzieć, dlaczego...

— Jestem zmęczona. Chciałabym położyć się spać.

— Później, nie teraz. Chcę wiedzieć, co cię do tego skłoniło.

— Straciłam panowanie nad sobą. To wszystko.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

— To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Naprawdę.

— Bzdura.

Nic nie odpowiedziała. Czowała na twarzy jego wzrok. Podniósł rękę do jej policzka, ale ona odwróciła głowę.

— Melindo... — Teraz jego głos był miękki.

— Masz jakieś tabletki od bólu głowy?

— Myślę, że są jakieś. — Zostawił ją na chwilę. Słyszała, jak przewracał coś w sąsiednim pokoju. Wrócił z buteleczką tabletek i szklanką wody.

— Mogę zrobić sobie filiżankę herbaty? — zapytała.

— Ja ci zrobię. Teraz zaczęła płakać.

— Masz chusteczkę. Otrzyj łzy. — Ujął ją za ramiona i pomógł wstać.

— Wiesz co, ja zrobię herbatę, a ty przygotuj filiżanki.

Gdy wrócili z kuchni, Adam usiadł na krześle naprzeciw Melindy. — Nie usiądziesz przy mnie? — zapytała.

— Jeżeli mamy bawić się w psychologię, to lepiej niech będzie tak, jak jest. Tak. Zupełnie pokrzyżowałaś moje plany na ten wieczór.

— Jakie plany?

— Miałem zamiar cię uwieść.

— Bez konsultowania się ze mną?

— Konsultowałem się z tobą, całując cię. To było, zanim jeszcze zmieniłaś scenariusz.

Zamknęła oczy.

— Tak się stało, ale nie chcę o tym mówić...

— Ale ja chcę. Wiem, że coś przede mną ukrywasz. Coś, co nie pozwala nam się zbliżyć do siebie.

— Naprawdę? A czy ty niczego przede mną nie ukrywasz?

— O co ci, do diabła, chodzi?

— Mówisz przez sen, wiedziałeś o tym?

— Nie mówię!

— Spałeś na plaży tego dnia...

— No to co?

— ... i mówiłeś przez sen.

— Co mówiłem?

— Wymawiałaś imię.

— Nic podobnego!

— To było imię kobiety. Brzmiało jak Glenda albo Amanda.

— Wymyśliłaś to!

— Staraleś się ją objąć.

— Co ty wygadujesz? Lepiej wróćmy do tego, co zaprzęta twoje myśli.

— Kochasz ją?

— Zwariowałaś.

— Co ona ci zrobiła?

— Nie wiem, o czym mówisz. — Patrzył na swoje ręce. Milczał przez chwilę. — Najpierw zachowujesz się w ten sposób, gdy... a potem...

Melinda patrzyła przed siebie.

— To była twoja wina — powiedziała cicho.

— Doprawdy? Pochlebiasz mi. Chcę wiedzieć, co cię tak zdenerwowało.

Wstała nagle i sięgnęła po torebkę.

— Nie chcę już o tym rozmawiać. Chcę iść do domu.

— Jeszcze nie.

— Chcę iść do domu TERAZ.

— Nie. Czy wówczas powiedziałem albo zrobiłem coś nie tak?

— Boli mnie głowa. Chcę iść do domu i położyć się spać.

— Później.

— Nie możesz zatrzymać mnie tu siłą. To niezgodne z prawem.

— Na biurku stoi telefon. Dzwoń na policję.

— Wiesz, że tego nie zrobię.

— Byłaś na mnie zła, że odwiozłem cię wczoraj do domu?

— Tak, byłam.

— A teraz chcesz się zrewanżować, mam rację?

— Nie, mylisz się — odrzekła, a po chwili zapytała: — Dlaczego jechałeś wtedy z takim pośpiechem? I skąd ta ogromna zmiana dzisiaj? Ten wielki plan uwiedzenia mnie?

Wciąż patrzył na swoje ręce. Ona zaś patrzyła na jego pochyloną głowę.

— Nie ma żadnego planu. Wczoraj też nie było. Myślałem... Wtedy myślałem, że posunąłem się za daleko, więc... więc odwiozłem cię do domu.

— Zrobiłbyś to i dzisiaj.

— Tak.

— Ze względu na NIA, prawda?

Splótł przed sobą palce.

— Nic nie rozumiesz.

— Więc wyjaśnij mi.

— Nie mogę.

— Mówiłeś do niej przez sen.

— A ty, co tobie nie pozwala spokojnie spać?

— Nic.

— To kłamstwo. Jest coś, co cię dręczy, o czym chcesz zapomnieć.

— Nie chcę już więcej bawić się w psychologię. Jestem zmęczona.

Chciałabym być już w domu.

— Boli cię jeszcze głowa?

— Okropnie. Czuję się tak, jakby mnie ktoś uderzył.

Te pytania wyczerpały ją. Ziewnęła, zamknęła oczy i położyła się na kanapie.

— Nie możesz tu spać.

— To był długi dzień. Proszę, zabierz mnie do domu. Ziewnęła raz jeszcze.

Adam pomógł jej wstać i sprowadził ją na dół do samochodu.

Tej nocy Melindzie śnił się koszmar. Był jeszcze gorszy od poprzedniego.

SAMOCHÓD RUSZYŁ. OTWORZYŁA USTA I USIŁOWAŁA KRZYKNAĆ, ALE NIE MOGŁA WYDOBYĆ GŁOSU. KIEROWCA NIE MIAŁ TWARZY. CHCIAŁA BIEC, ALE JEJ NOGI BYŁY JAK Z WATY...

BYŁA BARDZO SENNA. NIÓSŁ JĄ JAKIŚ MEŹCZYZNA. MÓWIŁA COŚ, GDY KŁADŁ JĄ DO ŁÓŻKA I PRZYKRYŁ KOCEM. MILCZAŁ. W POKOJU PANOWAŁA CIEMNOŚĆ. OTWORZYŁA NAGLE OCZY I W CHWILI, GDY ZA OKNEM ZABŁYSNAŁ NEON, UJRZAŁA ŁZĘ NA JEGO POLICZKU. CHCIAŁA SIĘ PODNIEŚĆ, ALE ZANIM ZDAŻYŁA COŚ POWIEDZIEĆ, ZAMKNAŁ DRZWI I WYSZEDŁ.

Rozdział czwarty

W kilka dni po ukazaniu się artykułu o ludziach pracujących nocą John zadzwonił do Melindy. Złożył jej gratulacje i zaprosił na kolację. Umówili się na środę.

John był na diecie, więc poszli do restauracji wegetariańskiej. W mieście było mnóstwo jarskich barów, ale ta restauracja należała do znajomego Johna. Wskazano im mały stolik w rogu, niemal całkowicie zasłonięty przez olbrzymi kwiat

Lubiła Johna i jego poczucie humoru. On nigdy nie brał siebie zbyt poważnie. Zupełnie pozbawiony był egoizmu. Często zaskakiwał Melindę trafnością swych sądów o ludziach. Jego ciemne oczy niemal bez przerwy jaśniały radością. John był wyjątkowo -sympatycznym człowiekiem. Melinda wiedziała, że zostaną przyjaciółmi. Z Adamem nie widziała się od tamtej fatalnej nocy. Niczego innego się nie spodziewała. Zapewne Adam uznał ją za wariatkę i teraz unikał spotkania z nią. „Wszystko będzie dobrze — pomyślała — kiedy tylko uda mi się przestać o nim myśleć... ”

— ... prawda, moja droga? — zapytał John.

— Prawda — odpowiedziała.

— Nie słuchasz tego, co mówiłem?

—Przepraszam. Odbiegłam myślami... wiele mil stąd.

— Kilometrów, moja droga. W dzisiejszych czasach mamy do czynienia z kilometrami. Wiesz, skoro już jesteśmy przy twoim braku koncentracji, wyglądasz trochę mizernie. Myślę, że pracujesz zbyt ciężko.

— CZUJĘ się zmęczona.

Po kolacji John zabrał Melinę na spacer. Świeże powietrze i cisza panująca dookoła sprawiły, że Melinda czuła się spokojna i odprężona.

Wdzięczna była Johnowi za to, że odgadywał jej pragnienia. W przeciągu tych kilku dni bardzo się zaprzyjaźnili. Czasami dzwonił do niej z wiadomością, że musi wybrać się na północ, by przygotować przedstawienie dla jednej z grup aktorów i pytał, czy nie miałyby ochoty wybrać się z nim.

Czasami budził ją wcześniej rano i cały dzień spędzali razem. Podczas gdy on załatwiał rezerwację pokoi i inne sprawy związane z przedstawieniem, ona zwiedzała miejscowe sklepy albo spacerowała po plaży. Później spotykali się w hotelowym barze.

Słyszała w redakcji, że Adam wyjechał na północ, by rozwinąć działalność nowej gazety zakupionej przez ich agencję. Jego nieobecność wcale nie pomogła jej przestać o nim myśleć.

Ostatnio Melinda została przeniesiona do innego działu. Nowe zajęcia pozwalały jej zapomnieć o Adamie przynajmniej na czas pracy. Zajmowała się teraz redagowaniem wiadomości niedzielnych i pisaniem artykułów o modzie. Redaktorka, która do tej pory zajmowała się tym, była właśnie na urlopie. Ta praca zabierała Melindzie dużo czasu. Należało bowiem przygotować około dwudziestu zdjęć ważnych osobistości miasta i zebrać dwie lub trzy kolumny różnych bzdurnych ciekawostek. Jediną zaletą było to, że Melinda musiała zostawać po godzinach. Miała tydzień na zebranie materiałów. W sobotę, w dzień, w którym numer szedł do druku, następowało ostateczne zbieranie przygotowanych w ostatniej chwili zdjęć i artykułów. W pierwszą sobotę odebrała około pięciu telefonów od wszystkich przełożonych gazety, z wyjątkiem nieobecnego Adama, z zapytaniem, czy zamieściła w niedzielnym wydaniu informację o odbywającym się ślubie pana McPhersona.

Młody biznesmen Jim McPherson był synem jednej z najbardziej liczących się rodzin w mieście. „Czy jest pani pewna, że zdjęcie młodej pary zostało dobrze zrobione?” — pytano. „Tak, proszę pana, mogę zapewnić, że jest dobre. Tak, proszę pana, zdjęcie rodziców również zostanie zamieszczone. Nie, proszę pana, nie zapomnę” — zapewniała.

Poszła na ślub. Już wcześniej dowiadywała się o różne szczegóły, ale gdy się tam pojawiła, pomyślała, że dobrze by było spisać kilka nazwisk i innych informacji, które mogłyby się przydać do notatki pod zdjęciem.

Podczas robienia trzeciego zdjęcia spojrzała w lustro. Zauważyła, że ładnie wygląda w swojej żółtej sukience, świetnie pasującej do jej jasnych włosów.

Nagle w lustrze ujrzała twarz Adama. Pomachał do niej ręką. Stał niedaleko i uśmiechał się do jej odbicia. Nie odwracając się, odpowiedziała mu uśmiechem i szybko zajęła się swoimi notatkami.

Po chwili znów spojrzała w jego stronę. Miał na sobie wytworny garnitur. Wyglądał bardzo interesująco.

Tymczasem fotograf znalazł ładną rudowłosą dziewczynę w bladozielonej sukience z satyny. We włosy miała wpięte perły. Melinda podeszła do nich.

Dziewczyna przedstawiła się jako Mandy Mathews. Państwo McPherson są starymi przyjaciółmi jej rodziny, ona sama zaś jest dziennikarką.

— Jestem tu z waszym redaktorem — wyjaśniła. Melinda zbladła nieco, mimo to uśmiechnęła się.

— Och, doprawdy? Myślałam, że przebywa na północy kraju. Robił coś tam dla nowej gazety.

— Tak, ja właśnie w niej pracuję — odpowiedziała Mandy.

„Mandy — pomyślała Melinda. — Mandy, Mandy, Mandy, Amanda. Czy to jej imię wypowiadał Adam przez sen w ten dzień, gdy łowiliśmy ryby? To całkiem możliwe. ”

—... Tak — mówiła Mandy. — Dopiero co przyjechaliśmy do Brisbane. Mieliliśmy niecałą godzinę, by się przebrać na ślub. Naprawdę, jestem trochę zmieszana. Mam nadzieję, że Adam nie zamierza zostać tu długo. Mam ochotę wyjść jeszcze przed śniadaniem.

— No, właśnie, co ze śniadaniem?

Melinda odwróciła głowę i spojrzała w szare oczy Adama. Z trudem zachowywała spokój.

— Mike właśnie zrobił Mandy zdjęcie — powiedziała do Adama. — Nie spodziewałam się... — ciągnęła dalej.

— Nie? A ja miałem nadzieję, że będziesz tutaj

— przerwał jej uśmiechając się.

— Jak to? — zapytała, rzucając szybkie, znaczące spojrzenie w stronę Mandy.

Uśmiechnął się do niej. Był taki przystojny. Pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Nie jesteś chyba zazdrosna?

— Oczywiście, że nie — skłamała.

— To dobrze. — Najwyraźniej nie uwierzył jej.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie — odpowiedziała stanowczo.

— Doskonale — powiedział, uśmiechając się znowu. — Więc nie odmówisz mi tańca? — Nie czekając na odpowiedź, zaprowadził ją na zatłoczony parkiet, gdzie przygrywała orkiestra.

— Nie mogę zostać tu długo — powiedziała, gdy przestali grać. — Obowiązki czekają.

— Słuchaj — odparł, gdy wracali do Mandy i Mike'a. — Mike może zebrać te notatki. Zadzwoń i sprowadzę tu kogoś, by...

— Nie mogę zrzucać tego na kogoś innego. Wiesz o tym. Poza tym, jest tu Mandy.

Było już późno. Melinda czuła się zmęczona sprawdzaniem tych idiotycznych historyjek o niczym. Przeciągnęła się, by rozprostować plecy. Gdy sięgnęła po czajnik, by zagotować wodę na kawę, wszedł Adam.

— Skończyłaś już?

— Tak, właśnie w tej chwili — powiedziała, stojąc z czajnikiem w ręku.

— Zostaw to. — Wziął od niej czajnik i odstawił na miejsce. Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

— A co z Mandy?

— To właśnie chciałem ci wyjaśnić.

— Nie musisz nic wyjaśniać.

Siedzieli nad ciastkami i kawą w dużej nocnej kawiarni, przebudowanej ze starego kościoła. Adam wyjaśnił, że Mandy pracuje w tej nowej gazecie i pisze artykuły o problemach kobiet

— Państwo McPherson to dobrzy przyjaciele jej rodziców. Przyjechała zobaczyć ślub i odwiedzić krewnych. Będzie w Brisbane tylko przez kilka dni. Przyjechaliśmy tu razem. I to wszystko.

— Rozmawiając z nią, dowiedziałam się, że macie zwyczaj przebierać się razem. „Mieliśmy niecałą godzinę, by się przebrać. ” Zdaje się, że tak to określiła.

— Tak było. Właśnie tak, jak powiedziała. RZECZYWIŚCIE przebieraliśmy się na ślub w pośpiechu, ona w domu swoich rodziców, a ja w swoim. Żle ją rozumiałaś.

— Może to ona przedstawiła to w ten sposób, aby sprawić wrażenie, że...

Potrząsnął z uśmiechem głową.

— Nie znam jej zbyt dobrze, ale sądzę, że nie miała takich intencji. Myślę, że jeszcze ją polubisz.

— Tak uważasz?

Adam zamówił stolik w Królewskim Centrum Kultury, gdzie tego wieczora miał się odbyć koncert jakiegoś znanego pianisty z miejscową orkiestrą.

Mandy również tam była. Melinda musiała przyznać, że Adam mówił prawdę. Mandy okazała się bardzo sympatyczną dziewczyną. Na to spotkanie przyszła z bratem, Michaeliem Mathewsem, również dziennikarzem, redaktorem popularnego magazynu dla kobiet

Gdy Michael dowiedział się, że Melinda redaguje niedzielne wydanie gazety i strony poświęcone modzie, zaczął z nią długą rozmowę. Poinformował ją, że jego magazyn jest kierowany do młodych inteligentnych kobiet o bardzo liberalnych poglądach społeczno-politycznych i otwartym umyśle.

— Na co, na Boga, są one dzisiaj tak otwarte? — zapytała Melinda z uśmiechem.

— Na aktualne wydarzenia, politykę...

— Więc dlaczego kobiety nie redagują tego magazynu?

— To wszystko zależy od czytelniczek. Nie dostałem jeszcze ani jednego listu, w którym zarzucano by mi, że źle prowadzę tę gazetę. Żadna z

czytelniczek nie napisała też, że kobieta zrobiłaby to lepiej ode mnie — odpowiedział z uśmiechem. — Skoro kobiety wciąż kupują mój magazyn, to znaczy, że podoba im się to, co robię.

— Może rozumiesz kobiety lepiej niż one same siebie.

— Być może jest tak, jak mówisz. Moja rodzina składa się niemalże z samych kobiet. Szczerze mówiąc, zdominowały mnie i ojca. W okresie dorastania moje gusta musiały się zmieniać w zależności od tego, która jędza właśnie rządziła domem.

— Czy one są tak straszne?

— Nie. Teraz wszystkie są piękne, czarujące i bardzo ponętne. Nawet za moją matką, która ma już ponad pięćdziesiąt lat, oglądają się mężczyźni. Moja siostra Mandy, dzięki swoim pięknym brązowym oczom, może dostać od nich wszystko, czego tylko zapragnie.

„W tej chwili sprawdza swoje możliwości, starając się oczarować Adama” — pomyślała Melinda.

Niski, pięknie brzmiący śmiech Mandy rozbrzmiewał obok, kiedy Adam opowiadał jej dowcipy.

Melinda czuła, że ogarnia ją irytacja. W końcu nic sobie z Adamem nie obiecali. Czyż ona nie cieszyła się z uwagi, jaką okazywał jej Michael? Uśmiechała się do niego, starając się skoncentrować na tym, co mówił.

— ... to byłoby zabawne, gdybyś pojechała ze mną.

— Przepraszam, nie dosłyszałam — powiedziała.

— Nie słuchasz.

— Ależ słucham. Tylko zamyśliłam się na chwilę.

— Często ci się to zdarza?

— Czasami. Zaśmiał się.

— Lubię cię. Podejrzewam, że jesteś niemal tak samo szalona jak ja. Ale czy mogłabyś poświęcić mi jeszcze chwilę uwagi? Chciałbym ci coś zaproponować. W przyszłym tygodniu wybieram się na północ na wycieczkę samolotem. Na zaproszeniu, które mi przysłało, widnieje dopisek „z przyjaciółką”. Pomyślałem, że to mogłoby być zabawne, gdybyś wybrała się tam ze mną. — Spojrzał na nią i uśmiechnął się rozbrajająco. — Co ty na to?

Wahała się przez chwilę. Rzuciła krótkie spojrzenie na Adama, który w tym momencie śmiał się głośno z jakiegoś dowcipu Mandy. Posłała Michaelowi olśniewający uśmiech.

— Dlaczego nie? — powiedziała.

— Wycieczka trwa cały dzień. Będziemy lecieć nad wielką rafą koralową, a potem spędzimy jakiś czas na jednej z wysp, gdzie będzie można popływać i poleżeć na słońcu. No i potem z powrotem do domu.

— To brzmi wspaniale. — Melinda uśmiechnęła się, zastanawiając się jednocześnie, o czym Adam rozmawia z Mandy. Chciała być teraz na jej miejscu i tańczyć z nim.

Ale to nie był jeszcze koniec kolacji. Adam zaprosił Melinę do ostatniego tańca.

— Chciałbym porozmawiać z tobą później, gdy już pozbędziemy się tych ludzi.

Słuchając koncertu Rachmaninowa, Melinda zastanawiała się, o czym to Adam chce z nią porozmawiać.

Po koncercie odwiózł ją do domu. Zaprosił ją na kawę.

— O czym chciałeś ze mną porozmawiać? — zapytała, gdy tylko weszli do mieszkania.

Siedział na jej biurku. Podniósł jakiś długopis i wypróbował go na kawałku kartki. Potem odłożył go na miejsce. Spojrzał na Melinę i powiedział:

— Słyszałem, że Mathews zaprosił cię na wycieczkę.

— Słyszałeś? — zapytała chłodnym tonem. Patrzyła, jak sięga po jej dziurkacz i kładzie go przy małym segregatorze.

Wybuchnęła śmiechem.

— Ależ jesteś pedantyczny!

— Pedantyczny? — Zachowywał poważną minę. — Po prostu lubię porządek.

— Co takiego?

Nie odzywał się przez chwilę. Na jego twarzy można było dostrzec niepokój.

— Nie chcę, żebyś jechała na tę wycieczkę.

— Dlaczego?

— Po prostu, nie chcę.

— Myślisz, że on zamierza przespać się ze mną?

— Nie wiem. A ty zamierzasz przespać się z nim?

— Co za absurd. Dopiero co go poznałam.

— Ale znasz go na tyle dobrze, by wybrać się z nim na wycieczkę.

— Obiecał zabrać mnie w miejsce, które chcę zobaczyć. To, czy go znam i lubię, nie ma żadnego znaczenia. Chcę zobaczyć rafę koralową. To wszystko.

— W takim razie ja cię tam zabiorę.

— Adamie, to tylko jednodniowa podróż samolotem. Niepotrzebnie tak przejmujesz się tą całą sprawą. Wolałabym, żeby jej w ogóle nie było.

— Więc odwołaj to.

— Dlaczego?

— Ponieważ proszę cię o to.

— Powiedziałaś to ze złością.

— Ponieważ JESTEM zły. — Wstał i podszedł do niej. Widziała linię jego ust Zbliżył się do niej i zaczął całować. Nie protestowała. Objęła go. Czowała szybkie uderzenia własnego serca.

Nagle poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Jakiś wewnętrzny głos mówił: „TO BYŁA MOJA WINA! TO BYŁA MOJA WINA! POWINNAM BYŁA BARDZIEJ UWAŻAĆ!” SŁYSZAŁA DOBIEGAJĄCY Z WNEŹTRZA JEJ GŁOWY CICHY, ŻAŁOSNY PŁACZ KOBIETY.

Melinda nie mogła już dłużej tego znieść. Odepchnęła Adama od siebie. Wówczas zauważyła zdziwienie i cierpienie na jego twarzy.

Zacząła mówić. Płakała i była zła jednocześnie. Mówiła rzeczy, których nie rozumiała. Złorzeczyła Adamowi, a on starał się ją uspokoić. Gdyby obudziła w nim gniew, to mogłoby się to bardzo źle skończyć.

Adam starał się doszukać jakiegoś sensu w rzucanych przez nią słowach, ale go nie znalazł. Czekał, aż sama przestanie. Poszedł do kuchni zrobić dwie filiżanki kawy. Przyniósł je i postawił na stoliku przed kanapą. Usiadł z pochyloną głową i splecionymi przed sobą dłońmi.

— Chodź, podejdź tu, usiądź. Napij się kawy. — Mówił cicho i powoli, jakby starał się, by jego głos zabrzmiał normalnie.

Stała w bezruchu, wciąż jeszcze niespokojna i poruszona tym, co się stało. Powoli, jakby budząc się ze snu, przeszła przez pokój i usiadła. Zacząła w milczeniu pić kawę. Nie patrzyli na siebie.

— Nic nie powiesz?

Jej filiżanka głośno stuknęła o talerzyk. Melinda wstała, podeszła do okna. Otworzyła je i wyjrzała na ulicę.

— Mówiłam jakieś przerażające rzeczy. Jeżeli cię przeproszę, czy to coś zmieni?

— Nie. — Wstał i podszedł do niej szybko, złapał za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

— Przepraszam — powtórzyła.

— Już to mówiłaś.

— Ja... ja po prostu nie mogłam tego powstrzymać. Straciłam panowanie nad sobą.

— Wybuchnęłaś.

— Pocałowałeś mnie.

— To prawda. Ale zdarzało mi się już całować dziewczyny i nigdy nie spotkałem się z taką reakcją. Teraz, proszę, powiedz mi, co to było. A jeśli nie potrafisz, to myślę, że sama sobie powinnaś zadać kilka pytań.

Ujął ją za rękę i zaprowadził z powrotem na kanapę. Usiadł. Starła się odsunąć od niego, ale on mocno trzymał jej dłoń. Przyciągnął dziewczynę delikatnie i posadził ją przy sobie. Przez jakiś czas panowała cisza.

— Od kiedy nawiedzają cię te... koszmary?

— Nie wiem.

— Musisz wiedzieć.

— Od czasu, gdy...

— Tak?

— Od czasu, gdy tu przyjechałam. Nie, niedługo. Od kilku tygodni.

— Coś się przedtem wydarzyło?

— Nie chcę już więcej o tym mówić. Jestem bardzo zmęczona. Głowę mam jak z ołowiu.

— Musimy porozmawiać. — Wyszedł i przyniósł aspirynę i szklanę wody. Przyglądał się jej, gdy połykała tabletkę. Kiedy odłożyła szklanę,

schowała twarz w dłoniach, by ukryć łzy. Pochyliła się i zaczęła cicho płakać.

— Proszę, Adamie. Czuję się taka zmęczona. Możemy porozmawiać jutro...

— Jutro nie będziesz już tego czuła, wrócisz do formy i zaczniesz wmawiać sobie, że nic nigdy się nie wydarzyło.

— Tak nie będzie. Obiecuję. Porozmawiam jutro.

— Porozmawiajmy tutaj, teraz.

— Nie potrafię. Nie mogę zebrać myśli.

— Chcę tylko, żebyś powiedziała, co... co... Coś musiało się stać. Potrząsnęła głową.

— Nie potrafię... Myślisz, że jestem szalona, prawda?

Znów zaczęła płakać, jej ramiona drżały. Adam objął ją czule.

— Wszyscy jesteśmy trochę szaleni. — powiedział.

To jakby ją trochę uspokoiło.

— Och, Adamie, jestem tak skołowana. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Boję się. Czasami myślę, że naprawdę zwariowałam. Nie potrafię... nie potrafię...

— Tak?

Nie odpowiedziała.

— Czego nie potrafisz?

— Nie potrafię o tym mówić — zakończyła.

— Ależ potrafisz.

— Proszę, jestem taka zmęczona.

— Powiedz mi tylko jedno.

— Chciałabym położyć się spać.

— Później.

— Chcę iść do łóżka już teraz!

— Tego wieczoru, gdy pojechaliśmy po pracy nad morze, odżyły w tobie jakieś wspomnienia z przeszłości. Co wydarzyło się w twoim życiu? Dlaczego nie chcesz o tym rozmawiać?

— Ja...

— Chorowałaś?

— Nie jestem pewna.

— Och, nie oszukuj mnie. Musisz wiedzieć.

— Lekarze nie mówili mi zbyt wiele...

Usłyszała jego przeciągłe westchnienie. Ujął jej dłoń i pocałował.

— Powiedzieli, że potrzebuję czasu. Pomyślałam, że zmiana miejsca mogłaby mi pomóc. Dlatego przeniosłam się do Brisbane.

— A co z twoją rodziną?

— Moi rodzice nie żyją. Gdy tylko dorosłam, wyjechałam z rodzinnego miasteczka.

— Musiałaś mieć jakichś przyjaciół.

— Chciałam jak najszybciej wynieść się z tego szpitala i zacząć wszystko od początku. Nie chciałam nikogo widzieć. Nie chciałam wracać do tego, co było.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Jednym słowem, w ogóle ci to nie pomaga.

— Co masz na myśli?

— Ucieczkę od przeszłości. Musisz ustalić, co jest powodem twoich niepokojów, by móc się od nich uwolnić.

— Dlaczego?

— Bo jesteś nieszczęśliwa.

— To tylko dlatego, że przechodzę kryzys. Wkrótce wszystko będzie ze mną w porządku. Zobaczysz.

— Naprawdę? A na razie masz zamiar wybuchać tak za każdym razem, gdy...

— Wolałabym, żebyś o tym nie wspominał.

— Martwię się o ciebie. Widzę, jak kiepsko wyglądasz. Widzę, ile wysiłku wkładasz w to, by żyć normalnym życiem. Jak długo zdołasz to wytrzymać?

— Nie mów tak.

— Chciałbym ci pomóc.

— Naprawdę?

— Ktoś musi.

Ziewnęła i położyła się na jego kolanach. W jej oczach znów pojawiły się łzy. Była bardzo zmęczona. Przytuliła się do Adama. Zamknęła powieki i jeszcze raz ziewnęła. On objął ją ramieniem. Gdy zapadła w głęboki, mroczny sen, zniknęło poczucie bezpieczeństwa. Powrócił koszmar.

SAMOCHÓD RUSZYŁ. KIEROWCA NIE MIAŁ TWARZY. CHCIAŁA BIEC, ALE NIE MIAŁA NÓG. KRZYCZAŁA, ALE KIEROWCA JEJ NIE SŁYSZAŁ. KRZYCZAŁA, KRZYCZAŁA, KRZYCZAŁA... COŚ UDERZYŁO JĄ W RAMIĘ. ZACZEŁA SPADAĆ...

Ktoś ją niósł. Położył ją delikatnie na łóżko i przykrył kocem. Czowała wargi dotykające jej czoła.

— Proszę, nie odchodź — usiłowała powiedzieć. Ale światło zgasło i drzwi zamknęły się cicho.

Rozdział piąty

Po całodziennym locie nad rafą koralową Michael odwiózł Melinę do domu. Zaprosił go na kawę.

Wspominając wydarzenia minionego dnia, Michael przesunął się ku niej na drugi koniec kanapy. Zabawiał ją opowiadaniem o tym, jak to kiedyś miesiącami zdobywał pewną dziennikarkę i jak w końcu udało mu się przeżyć z nią tygodniowy romans. Opowiadając tę romantyczną historię, Michael gładził czule ramiona Melindy. Pieszczoty stawały się coraz bardziej namiętne,

Melinda, chcąc przeszkodzić dalszemu rozwojowi wydarzeń, zajęła się sprzątnięciem filiżanek po kawie. Zniosła je do kuchni.

Myła naczynia i stawiała je na suszarce, gdy nagle Michael objął ją w pasie mówiąc:

— Pozwól, że odciągnę cię od tych domowych zajęć, moja mała. Mogę cię przenieść w świat niewyobrażalnych przyjemności. Zapomnijmy o filiżankach, talerzykach, zlewie...

— Ręcznik, — Sięgnęła do szuflady i podała mu jeden.

— Gdy wykonałem już służebne zadanie... — zaczął znowu.

— To możesz iść do domu — dokończyła za niego.

— Nienawidzę, gdy kobiety bawią się w takie gierki — mruknął.

Melinda czyściła spokojnie srebrne łyżeczki. — To nie gierki — powiedziała. — Po prostu, nie chce tego.

— Założę się, że wszystko opowiadasz Copelandowi — powiedział posepnie.

— Dlaczego myślisz, że Adam... ?

— Słyszałem, że już dwa razy widziano was w redakcji trzymających się pod rękę.

— Doprawdy?

— Winna mi jesteś przynajmniej jeden pożegnalny pocałunek — powiedział wychodząc.

Melinda poczuła jego wargi na swoich ustach. Trzymał ją mocno w ramionach. Próbowwała odepchnąć go i odwrócić twarz, ale on nie dawał za wygraną. Napawał się swym ostatecznym zwycięstwem. Nagle zaczęły się w niej budzić wszystkie te tłumione uczucia, jakie żywiła dla Adama. Przestała opierać się Michaelowi. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że odwzajemnia jego pieszczoty. Jej niewytłumaczalne poczucie winy dodawało pikanterii całej sytuacji.

— Dalej, kochanie, pozwól... — mruzczał, oddychając ciężko.

Wiedziała, że powinna odejść, ale gdy usiłowała się poruszyć, jego ramiona zacisnęły się mocniej wokół niej.

— Ależ, kochanie — zachęcał ją. — Chcesz tego, wiem o tym.

Czuła, że ustępuje. Był taki atrakcyjny. Pociągał ją. Nagle jednak zrozumiała, że pragnie czegoś zupełnie innego. Ten mężczyzna jej nie kochał, niewiele go obchodziła, myślał tylko o seksie. Jutro, następnym razem, gdy się spotkają, rzuci jej uśmiech triumfu i obejmie ramieniem, by pokazać światu, że była przez chwilę jego.

Dzwonek telefonu przywrócił ich do rzeczywistości. Michael zmarszczył brwi i rozluźnił uścisk.

— Nie, Michael, myślę, że nie — powiedziała. Zacisnął wargi.

— Lepiej będzie, jeśli odbierzesz. To zapewne Adam. Chce sprawdzić, czy wciąż tu jestem.

— Tak, zapewne — odpowiedziała. — Więc lepiej idź już.

— Pilnuje cię, prawda? — spytał wychodząc. Melinda wybiegła za nim po chwili.

— Michael — zawołała, gdy był już w połowie schodów. —
Przepraszam.

Odwrócił się i patrzył na nią przez chwilę.

— Wszystko w porządku. To był miły dzień.

— Też tak myślę — powiedziała.

— Jeżeli nie odbierzesz, pomyśli, że jesteśmy w łóżku — powiedział i zszedł na dół.

— Dlaczego nie odbierałaś? Czy Michael jest jeszcze u ciebie? —
Adam niemal krzyczał do słuchawki.

— Właśnie wyszedł.

— Czy prosił o następne spotkanie?

— Nie — odpowiedziała szybko. — Ale spytał, czy mnie pilnujesz. —
Potem zaś dodała łagodniejszym tonem: — Adamie, to była tylko krótka wycieczka. Chciałam zobaczyć rafę koralową i to wszystko.

W słuchawce panowała cisza.

— Mogłaś jechać ze mną. Proponowałem ci — powiedział w końcu.

— Ale on zrobił to pierwszy — odpowiedziała.

— Jesteś pewna, że wyszedł?

— Nie wiem, może właśnie wrócił i schował się pod łóżko albo za zasłonę prysznic, a może siedzi w lodówce — powiedziała zjadliwie. —
Chcesz, abym sprawdziła łóżko, prysznic i lodówkę, żebyś mógł spać spokojnie?

Nie odezwał się.

— Rzeczywiście, muszę zajrzeć do lodówki — rzuciła drwiąco. — Z lodowym Michaeliem Mathewsem nie dałabym sobie rady przy śniadaniu.

— Nie bądź złośliwa. Znam ten typ facetów lepiej niż ty.

— Naprawdę? Uważam, że był całkiem uprzejmy, zważywszy...

— Zważywszy co?

— Że musiał się zadowolić filiżanką kawy.

— Nie miał prawa nawet do tego — warknął Adam. — Co mu zawdzięczasz? Ta wycieczka musiała być niezwykle interesująca.

— To było bardzo uprzejme z jego strony, że mnie zaprosił.

— Uprzejme? Bzdura! To dziwkarz. Każdy może...

— Wolę zachować moje własne zdanie o nim — przerwała mu.

— Twoja wola.

— Tak właśnie. I jeszcze ci powiem, że jest spokojniejszy od ciebie.

Dobry towarzysz...

— Dopóki nie weźmie tego, czego pragnie, a wtedy odejdzie do następnej towarzyszki i nie uraczy cię już więcej nawet spojrzeniem.

Zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi.

— Adamie — powiedziała. — Ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

Głowa mi pęka, chciałabym już położyć się spać. Jeżeli chcesz kontynuować tę kłótnię, to możesz zadzwonić jutro.

— Czy według ciebie chodzi mi jedynie o spieranie się z tobą?

— A nie jest tak? Po co, w takim razie, dzwonisz?

— Sam sobie zadaję to pytanie — odpowiedział i zanim Melinda zdążyła cokolwiek powiedzieć, odłożył słuchawkę.

Położyła się do łóżka i próbowała czytać, ale nie mogła się skoncentrować. W końcu zgasiła światło i leżąc myślała o rozmowie z Adamem.

Mijały minuty, godziny, a ona wciąż nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, zwijając prześcieradło i koc. Leżała nieruchomo, wpatrzona

w ciemność. „Do diabła z Adamem. Do diabła z tym bólem głowy. Do diabła z tym wszystkim!” — powiedziała do siebie.

Wstała i zaczęła chodzić po mieszkaniu. „Może potrzebuję trochę świeżego powietrza?” — pomyślała. Otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz.

Coś błysnęło w świetle latarni i skierowało się w górę ulicy. Samochód podjechał do krawężnika i zatrzymał się na kilka minut „Czy to samochód Adama?” Nie była pewna.

Po jakimś czasie samochód zawrócił i odjechał. Melinda wróciła do łóżka. Po kwadransie zapadła w ciężki, upiorny sen.

SAMOCHÓD RUSZYŁ. USIŁOWAŁA KRZYCZEĆ. USIŁOWAŁA BIEC. KIEROWCA NIE MIAŁ TWARZY. ZROBIŁA KILKA KROKÓW. PRZEWRÓCIŁA SIĘ. POCZUŁA BÓL, JAKBY W JEJ SKÓRĘ WBIŁY SIĘ KAMYCZKI.

KTOŚ KRZYCZAŁ, ALE WOKÓŁ NIE ROZCHODZIŁ SIĘ ŻADEN DŹWIĘK. KRZYK ZAMKNIĘTY BYŁ WE WNETRZU JEJ GŁOWY. NIE MOGŁA GO STAMTĄD WYDOBYĆ, PONIEWAŻ NIE MIAŁA UST. USIŁOWAŁA WSTAĆ, ALE MOGŁA SIĘ JEDYNNIE CZOŁGAĆ. BYŁO JUŻ ZA PÓŹNO, ZA PÓŹNO, ZA PÓŹNO...

ZOBACZYŁA WPATRZONE W SIEBIE OCZY. SPOJRZAŁA W NIE Z PRZERAŻENIEM. KRZYK STAWAŁ SIĘ CORAZ GŁOŚNIEJSZY, COŚ UDERZYŁO JĄ W RAMIĘ. UPADŁA. KTOŚ KRZYCZAŁ. ZAWYŁA SYRENA... I ZGRZYTNEŁY KOŁA... ZGRZYT, ZGRZYT, ZGRZYT... ZGRZYT, ZGRZYT... ZGRZYT...

— Och, pomocy! Pomocy! Adam! — płakała. „To szaleństwo — pomyślała. — W tej chwili czuję, że zwariowałam. ”

ZGRZYT, ZGRZYT, ZGRZYT... Wciąż słyszała to zgrzytanie kół.

— Och, Boże Święty! — mówiła ochryplym głosem. — Jestem szalona. Muszę się uspokoić. Jak długo to będzie trwało? Muszę się uspokoić.

ZGRZYT, ZGRZYT...

— Jak mam się uspokoić po tym, jak ujrzałam te oczy? Wciąż słyszę te krzyki.

ZGRZYT...

Trzęsła się i oddychała ciężko. Było jej zimno. Miała wrażenie, że jej ręce zamieniły się w sople lodu. Siedziała z podkurczonymi nogami, z głową opartą na kolanach. Zaczęła się kołysać w przód i w tył, w przód i w tył...

„Wariaci się tak kołyszą — pomyślała. — Muszę przestać się kołysać.”

— Uspokój się — mówiła sobie. — Uspokój się. Myśl powoli, spokojnie. Pozwól tym obrazom odejść. Zrób coś. Nie siedź tak, zwinięta w kłębek. Wstań z łóżka.

Bała się poruszyć. Ale w końcu zdecydowała się. Wyprostowała jedną drżącą nogę, później drugą. Przesunęła się na brzeg łóżka i opuściła nogi. Szukała stopami kapci. Znalazła...

„Za chwilę wszystko będzie dobrze — myślała.

— Muszę się tylko ogrzać. " Przytrzymując się mebli, dotarła do kuchni. Nalała trochę mleka do garnuszka i postawiła na kuchence. Usiadła, opierając się o stół. „Och, to okropne być samotnym! Gdyby był ktoś, z kim mogłabym porozmawiać, może zniknąłby ten koszmar. "

Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Czekwała. Minęła już długa chwila. „Gdzie on jest? Może nie chce odebrać telefonu?" — pomyślała.

Spojrzała na zegarek. Była czwarta. „Śpi, więc może nie słyszy. A ja tak go potrzebuję. ”

Już straciła nadzieję, że Adam odbierze telefon. Wzięła ołówek i przycisnąwszy słuchawkę brodą do ramienia, zaczęła rysować.

Z początku wyglądało to, jak nic nie znaczące bazgroły. Melinda zaczęła szybciej stawiać kreski. Miała przed sobą oczy, które widziała we śnie. To samo spojrzenie, lekki wyraz zdziwienia, nieco uniesione brwi.

Sygnal w słuchawce się zmienił. Przerwała rysowanie i końcem ołówka wykreśliła ponownie numer. Znowu usłyszała przerywany sygnał. Patrzyła na rysunek. To były te same oczy. I to już nie był sen. To była rzeczywistość.

Nagle coś brzęknęło w słuchawce i Melinda usłyszała głos Adama.

— Adam... — zaczęła, ale nie potrafiła nic więcej powiedzieć. Łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

— Adam... — próbowała mówić dalej, ale rozpłakała się na głos.

— Melinda? — zapytał z niepokojem w głosie.

— Czy to ty, Melinda?

— Adam, ja...

— Co się stało? Jesteś chora?

Nie mogła mówić.

— Co się stało? — powtórzył pytanie. Wciąż nie mogła odpowiedzieć, płakała.

— Zaraz do ciebie przyjadę. Tylko coś na siebie włożę. Zaczekaj chwilę. Zaraz będę.

Powoli Melinda odzyskiwała spokój. Wszystko ją jednak bolało. Miała mętlik w głowie. Łkała. Słuchawka wypadła jej z ręki, stuknęła o kant biurka i zawisała, kołysząc się nad podłogą. Melinda usiłowała opanować łzy,

ale nie potrafiła. „Adam zaraz przyjedzie — mówiła sobie. — Wszystko będzie dobrze. ”

Przekręciła zamek w drzwiach. Najprawdopodobniej już do niej jechał. Przestała płakać. Siedziała wyczerpana na biurku, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

—Otwarte —zawołała i zerwała się gwałtownie, ujrawszy na kuchence kipiące mleko.

„Och, ja nieszczęsna!” Jej oczy znowu napełniły się łzami. Gdy wyłączyła gaz i odwróciła się z kubkiem w ręku, ujrzała Adama.

— Co się stało?

Wziął od niej kubek i odstawił na stół. Przytulił ją. Milczała przez chwilę. Podał jej swoją chusteczkę, a ona otarła łzy. Głaskał ją po głowie.

— Co się stało? — zapytał jeszcze raz.

—Miałam koszmary sen —powiedziała w końcu. Zabrzmiało to zabawnie. Przestraszyła się, że go to rozzłości albo, co gorsza, że zacznie się śmiać.

— Co ci się stało? — zapytał.

— To było przerażające. Teraz brzmi to tak głupio.

— Chodź... — Zabrał ją do pokoju i posadził na kanapie obok siebie.

Milczeli. W ciszy usłyszeli sygnał telefonu dobiegający z opuszczonej słuchawki. Adam wstał, podszedł do biurka i odłożył słuchawkę na widełki. Zwrócił uwagę na leżący tam rysunek. Stał odwrócony tyłem do Melindy. Przyglądał się uważnie obrazkowi. Podał jej kartkę.

— Kiedy to narysowałaś?

— Przed chwilą.

Patrzył na rysunek ze zmarszczonymi brwiami. Potem odłożył go i usiadł przy niej. Oparła się na jego ramieniu i zamknęła oczy. Adam położył

jej głowę na swoich kolanach i objął czułe. Nic nie mówił. Melinda leżała spokojna i zadowolona, nie bała się już. Przytuliła się do Adama. Wsunęła stopy pod koc i poczuła, że robi się jej ciepło. Oddychała coraz wolniej, aż w końcu zasnęła.

Gdy się obudziła, było już południe. Adam spał przy niej, w jej łóżku. Oddychał spokojnie. Odwrócony był twarzą ku niej, z jedną ręką pod głową. Jego wyciągnięte nogi sięgały drugiego końca łóżka. Jedna stopa wystawała spod kołdry, którą się przykrył.

Teraz nie było na jego twarzy tej rezerwy, którą tak wyraźnie wyczuwało się w ciągu dnia. We śnie jego twarz przybierała ciepły, łagodny wyraz.

Spał wciąż, podczas gdy ona wzięła prysznic, ubrała się i posprzątała w mieszkaniu. Wyprała też i powiesiła noszone wczoraj ubranie.

Zaparzyła filiżankę kawy i spojrzała na zegarek. Powinna go już obudzić, by zdążył wziąć prysznic i przebrać się do pracy. Miał dziś konferencję.

Przyniosła mu kawę i potrząsnęła go delikatnie za ramię. Poruszył się, ale nie obudził. Potrząsnęła nim jeszcze raz i zawołała po imieniu.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Był zaskoczony, trochę oszołomiony.

— Melinda... — przemówił. Wyciągnął do niej rękę. — Ja...

Milczała. Objęła go i czekała. Czy chciał teraz powiedzieć, że ją kocha? Nie odezwał się jednak.

— Chciałeś coś powiedzieć? — zapytała.

Nie odpowiedział. Patrzył na nią pytającym wzrokiem. Czekwała z nadzieją, że dokończy to, co zaczął mówić.

— Przepraszam. Znowu mówiłem przez sen. To ty mi powiedziałaś, że mówię przez sen, prawda?

Usiadł przy niej. Pił kawę.

— Nie spałeś już... — zaczęła.

— Zrobisz mi jeszcze jedną kawę przed wyjściem?

— Jesteś pewien, że już musisz iść? — zapytała wstając.

— Która godzina?

— Wpół do czwartej. Masz jeszcze półtorej godziny.

Gdy wróciła z następną kawą, miał już na sobie buty. Waśnie wyglądał przed lustrem włosy i koszulę.

— Chodźmy do kuchni — powiedział. Znowu był sobą.

Nie widziała go już tego dnia. Postanowiła wyjść do miasta, by porozmawiać z następnym człowiekiem pracującym w nocy.

Gdy wracała, już świtało. Wykąpała się, przebrała, zjadła dwa gotowane jajka i usiadła do pracy.

Skończyła artykuł, spakowała torebkę i wyszła do redakcji. Niemałym zaskoczeniem była dla niej wiadomość, że Adam odleciał porannym samolotem na północ, znów w sprawie nowej gazety.

„Ucieka — pomyślała. — Czy uznał, że będzie to najprostszy sposób na to, by się mnie pozbyć? Czyżby bał się powiedzieć mi wprost, że nie chce się już więcej ze mną spotykać? A może chodzi o inną kobietę? Czy o tę, której imię wymawiał, śpiąc na plaży? A może o Mandy Mathews? — Zakręciło się jej w głowie. — Mandy! To o nią chodzi. Mandy pracuje dla tej nowej gazety. Och, tak, wyjaśnił mi to. Powiedział, że to tylko interesy. ”

Poranny telefon Michaela Mathewsa pozwolił Melindzie uwolnić się od złych myśli. Michael chciał ją zabrać na nowe przedstawienie Johna Fentona. John prosił go, by zabrał ją na przyjęcie, które odbędzie się po przedstawieniu. Pomyślała, że nie będzie siedzieć w domu i czekać przy telefonie, aż Adam zadzwoni. Niech dzwoni. Nie będzie jej. Niech się

zamartwia. Nie miał prawa wyjeżdżać bez słowa wyjaśnienia. Przecież coś już ich łączy.

Miała sporo czasu, żeby się przygotować. Wybrała długą chabrową sukienkę. Przejrzała się w lustrze, poprawiła pasek.

Zadzwoił telefon. Podnosząc słuchawkę, powtarzała sobie, jak bardzo nienawidzi Adama i pomodliła się przez chwilę, żeby to był on.

— Melinda? — zapytał cichym niskim głosem.

— Tak? O co chodzi?

— Jestem na północy.

— Wiem, słyszałam.

— Przepraszam, że nie powiedziałem ci o tym przed wyjazdem.

— Nieważne.

— Coś się stało. Musiałem się spieszyć.

— Było to tak nagłące, że nie miałeś czasu powiedzieć mi do widzenia?

— Tak, było. — Na chwilę zapanowała cisza. Czekwała na jakieś wyjaśnienia. Słyszała wyraźnie jego chrząknięcie. — To znaczy, niezupełnie.

— A jednak.

— W rzeczywistości poczułem, że powinienem wyjechać na jakiś czas. Oderwać się od ciebie.

— Doprawdy?

„Jeżeli myśli, że pomogę mu wyjąkać ten nonsens, to się myli! Wyjechać! Oderwać się! Co za bzdura!” — mówiła do siebie w duchu, czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Myślę, że potrzebujesz trochę czasu dla siebie.

— Och, DOPRAWDY?

— Tak, cały czas mam wrażenie, że jestem źródłem twego niepokoju, więc pomyślałem...

— Czemu nie powiedziałeś mi o tym?

— Nie było czasu. Tu się wiele wydarzyło. Rada miasta wydała rozporządzenie zawieszające działalność gazety. Redaktor umył ręce i zniknął. Mogłem przysłać tu kogoś innego, ale wolałem sam wyjaśnić tę sprawę. Pomyślałem, że trochę samotności dobrze ci zrobi. Mandy powiedziała...

— Jak się ma droga Mandy? — zapytała, przerywając mu.

— Jest tutaj z zastępcą redaktora — powiedział po chwili.

— Więc zostajesz tam?

— Tak. Jest tu trochę spraw do załatwienia. — Przerwał na chwilę, jakby czekając na to, co ona powie, ale Melinda nie odezwała się. — Jesteś zła?

— Myślę, że mogłeś się chociaż pożegnać.

— Przepraszam, mówiłem ci już...

— Tak, mówiłeś. Ale, moim zdaniem, twoje wyjaśnienia nie są wystarczające.

— JESTEŚ zła, prawda?

— Nie — skłamała. — Tylko trochę się spieszę. Właśnie wychodzę. — Nie chciała tracić czasu na subtelności, więc powiedziała wprost: — Wychodzę z innym mężczyzną.

Teraz on milczał przez dwie minuty. „Więc poruszyło go to. Dobrze mu tak” — pomyślała.

— Czy znam tego kogoś? — zapytał w końcu cicho.

— Tak — powiedziała triumfującym tonem. — Idę na przyjęcie z Michaeliem Mathewsem. To przyjęcie z okazji nowej premiery.

W słuchawce nadal panowała cisza.

— Właściwie, zaprosił mnie tam inny mężczyzna. — Była bezlitosna. — Pamiętasz Johna, tego człowieka, o którym ostatnio napisałam artykuł? To on organizuje to przyjęcie i poprosił Michaela, by zabrał mnie na nie.

— Rozumiem. — Znowu chwila ciszy. — Kto odwiezie cię do domu? Zaśmiała się.

— O jejku, nie mam pojęcia. Pewnie w środku nocy będą obaj walczyli o mnie na pistolety. To może być* John. Chociaż z drugiej strony, Michael powziął już zapewne jakiś skryty plan, jak wejść do mnie na małą kawę. Spędzę więc ten wieczór przyjemnie i...

Adam rozłączył się.

Podczas przyjęcia dręczyły ją wyrzuty sumienia. Jeśli Adam wyjechał, by dać jej nieco swobody, to jej słowa musiały go urazić. I jeśli nie pojechał specjalnie, żeby zobaczyć się z Mandy, to teraz będzie miał dostateczny powód, by spędzić z nią więcej czasu.

W jaskrawym świetle złotych lamp ujrziała znajomą twarz i wnet głos Johna przerwał jej posepne rozmyślenia:

— Zawsze nieobecna duchem. — Uśmiechnął się do niej.

— Cieszę się, że tu przyszłam — powiedziała, tańcząc z nim i rozglądając się po sali. — Nigdy nie byłam na takim przyjęciu. Kim są ci ludzie?

— Część z nich to pracownicy naszej firmy. Są tu tacy, którzy potrafią ze starej szmaty uszyć fantastyczną sukienkę.

Górne światła zgasły i pod wysokim sklepieniem starego kościoła zapanował tajemniczy półmrok.

— To miejsce ma niesamowitą atmosferę — powiedziała. — Ma w sobie coś z wnętrza pałacu Drakuli i mrocznego, zaklętego lasu.

— Tak rzeczywiście jest — powiedział John.

Michael poprosił ją do tańca, gdy przyjęcie dobiegało już końca. Był pijany. Jego nieskoordynowane ruchy wprawiały Melinę w niemałe zakłopotanie. Przestraszyła się, że gdy za jakiś czas dotrą do jej mieszkania, nie będzie w stanie się go pozbyć.

Pomyślała, że John mógłby jej pomóc. Znalazła go przy lodówce, gdy robił sobie mrożoną kawę. Z ulgą stwierdziła, że był zupełnie trzeźwy.

— Jeśli jesteś już zmęczona, to mogę odwieźć cię do domu — zaproponował.

Poczuła przyływ niezwyklej wdzięczności dla niego. Widać zdążył już zorientować się, w jak ciężkiej sytuacji się znalazła i nie czekał, aż poprosi go o pomoc.

— Och, tak — odpowiedziała z ulgą.

Uśmiechnął się, spoglądając na salę, gdzie Michael właśnie umizgiwał się do pewnej blondynki, która nie była z tego zbyt zadowolona. Nagle Michael zaczął rozglądać się wokół.

— Wygląda na to, że on cię szuka. — powiedział John.

— Szybko. Wyjdźmy stąd.

Gdy wyszli na zewnątrz, wybuchnęli śmiechem. Z samochodu Melinda ujrzała Michaela stojącego w drzwiach kościoła i rozglądającego się. Uniósł dłonie do ust i krzyknął coś za nimi, ale oni tego nie słyszeli.

— Umieram z głodu — powiedział John, gdy dotarli do jej mieszkania. — Mniejsza o moje zdrowie. Tam było za dużo alkoholu i za mało jedzenia.

Usiadł na kanapie, wyciągnął fajkę i przyglądał się Melindzie, gdy ona przygotowywała w kuchni coś do jedzenia. Zjadł dwie pizze, lody i po wypiciu kawy opadł na oparcie kanapy.

— To było wyśmienie — powiedział.

— Myślałam, że dbasz o swoje zdrowie — wypomniała mu, gryząc jabłko.

— W zasadzie tak, ale często robię sobie przerwy.

— To chyba nic złego. Przynajmniej nie zapijasz się alkoholem, tak jak Michael Mathews... — Przerwała na chwilę, by przełknąć jabłko. — A przy okazji, nie powiedziałeś mi jeszcze, jak go poznałeś.

— On lubi organizować bale maskowe i często pożycza od nas kostiumy. W zamian robi nam reklamę.

— Której potrzebujecie. — Uśmiechnęła się do niego.

— Tak. Nie sądzę, abym chciał kiedykolwiek odkrywać swoje prywatne życie na użytek jakiegoś magazynu dla kobiet, ale większość to robi, szczególnie ci młodzi.

— Moim zdaniem nie należysz do ludzi, którzy zaciekle bronią swojej prywatności. Cóż to za wielkie tajemnice chcesz ukryć?

— Żadne tajemnice — odparł. — Prawda jest taka, że w zasadzie nie mam życia prywatnego. Zawsze gdy się zakocham, myślę: „tak, to jest to”, ale po kilku tygodniach czuję znudzenie, a po dwóch miesiącach jest już po wszystkim.

— Musiała być kiedyś kobieta, która cię zainteresowała w szczególny sposób.

— Tak — przyznał. — Vanessa Marchant Była największą damą teatru, jaką kiedykolwiek znał ten kraj. Ale gdy ją spotkałem, miała już osiemdziesiąt sześć lat.

— Ale chyba spotykasz czasami jakieś interesujące kobiety w twoim wieku?

— To zdarzyło się raz w Melbourne — powiedział zamyślony. —
Lecz ona zakochała się w innym aktorze. To był taki ciemny typ o włoskiej
urodzie. Potem wyjechała z nim. Była jeszcze jedna dziewczyna na
południu, ale ona też wyszła za kogoś innego.

— Biedaku — powiedziała ze współczuciem. — Masz za sobą ciężkie
chwile.

— Nie gorsze niż ty. Zapewniam.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Masz w sobie coś takiego... Jakaś ostrożność w oczach. Nigdy nie
mówisz o swoich uczuciach, nigdy się nie otwierasz. Sprowadzasz wszystko
do żartów i rozmów o niczym.

— Bystry jesteś.

— Jesteś przestraszona. Nie wiesz, czego się naprawdę boisz, wiesz
tylko, że źródło tego lęku jest w tobie.

Wstała, wyszła do kuchni, otworzyła kosz na śmieci i wyrzuciła resztki
jabłka. John podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. Odwrócił ją
twarzą ku sobie.

— To prawda, zgadza się? — zapytał łagodnie. Melinda wróciła do
pokoju.

— Nie chcę o tym mówić. — Z uwagą oglądała paznokcie. —
Wolałabym, żebyś już poszedł.

— Melindo, nie miałem zamiaru...

— Idź już, proszę...

— Jak sobie życzysz. — Podszedł do kanapy i podniósł swoją teczkę.
Odwrócił się jeszcze. — Proszę, nie chcę, byśmy rozstawali się w ten spo-
sób. Jesteś zła. Nie chciałem...

Głośny terkot telefonu przerwał jego wypowiedź. Na moment oboje zastygli w bezruchu. Telefon zadzwonił po raz drugi i trzeci. Melinda wciąż się nie poruszyła.

— Nie zamierzasz odebrać? — zapytał. Podniosła dłonie do ust i zacisnęła je w pięści.

— Kie chcę z nikim rozmawiać, ale to może być ktoś z redakcji. Odbierz, proszę i dowiedz się, kto to i czego chce.

John podszedł do biurka, odstawił teczkę i usiadł. Podniósł słuchawkę.

— Kto mówi? — Melinda usłyszała głos Adama.

— Chcesz porozmawiać z Melindą? — zapytał John z wahaniem, gdyż wciąż nie wiedział, z kim ma do czynienia.

— Czy ona tam jest? — zapytał ostro Adam, a gdy Melinda podeszła do telefonu, zaczął jej robić wymówki: — Jest środek nocy. Do diabła, kto tam jest z tobą?

Melinda zagryzła wargę. Czuła się skrepowana obecnością Johna.

— John odwiózł mnie do domu. Waśnie wychodzi.

— Ale na przyjęcie poszłaś z Michael'em?

— Tak, ale on w końcu... upił się. Poprosiłam Johna, aby mnie odwiózł. Mówiłam ci, że tak się może zdarzyć.

— Dlaczego zaprosiłaś go do środka?

— Nic nie jadł przez cały dzień. Poczęstowałam go kolacją. On jest w porządku. — Teraz ściszyła głos. — Odłożyłeś słuchawkę, gdy rozmawialiśmy ostatnio.

— Byłaś nieprzyjemna.

— Ty też byłeś uciążliwy.

— Ja... przepraszam. Dzwonię, gdyż... martwiłem się o ciebie. Myślałem, że Michael może... — Tu przerwał na chwilę. — Nie mogę przestać myśleć o tobie, odkąd wyjechałem.

— Bzdura. Nawet nie pożegnałeś się ze mną.

— Co robisz jutro?

— Artykuł do niedzielnego wydania.

— O czym?

— O szkole dla głuchych.

— A jutro wieczorem?

— Pójdę spać. Czuję się naprawdę zmęczona.

— Odpocznij.

— Tak, szefie.

— Nie mów tak do mnie.

— Dobrze, panie Copeland.

— Niemożliwe, żebyś czuła się tak źle, skoro stać cię na złośliwość.

— Czuję się dobrze. Naprawdę. Tęsknię za tobą.

— A ja tęsknię za tobą.

— Nonsens. Jak się udała randka z Mandy?

— Nawet nie zamierzałem się z nią umawiać.

— Nie wierzę ci.

— To prawda. Zobacz, czy ten facet już wyszedł.

Zaczerwieniła się, gdyż zdała sobie, że John, mimo że dyskretnie wycofał się na kanapę, słyszał większość słów wypowiedzianych przez Adama. Szczególnie ostatnie zdanie zabrzmiało zbyt głośno.

— Muszę w takim razie kończyć — powiedział Adam. — Zadzwoń jeszcze za pół godziny.

Chciałbym, żeby on wyszedł do tego czasu. Słyszysz?

— Dobrze — powiedziała, po czym zwróciła się do Johna; — On chciałby, żebyś wyszedł za...

— Pół godziny — dokończył za nią. — Słyszałem. Odłożyła słuchawkę.

— Tak naprawdę, to nie chcę, żebyś wychodził. Przepraszam cię za to, co wcześniej powiedziałam. Zostań, proszę...

— Ale Adam...

— Nie przejmuj się Adamem. Chciałabym z tobą porozmawiać... Chciałabym powiedzieć ci o kilku rzeczach... — mówiła niepewnie.

Patrzył na nią przez chwilę. Odstawił swoją teczkę i poszedł do kuchni.

— Zaparzę kawy — powiedział cicho.

Gdy wrócił z filiżankami, Melinda siedziała skulona na kanapie. Nogi miała podkurczone, ramionami obejmowała kolana.

— Łyżeczka cukru, trochę mleka. Dobrze? Kiwnęła głową. Milczała przez dłuższą chwilę.

W końcu spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

— Och, John — powiedziała. — Nie mogę się pozbierać...

— Hej... — Odstawił filiżankę i objął Melindę delikatnie.

Czekał.

Po kilku minutach dziewczyna wyprostowała się i uśmiechnęła smutno.

— Chodzi o Adama? — zapytał.

— Tak. To znaczy, nie. Nie wiem.

— Kochasz go?

— Nie wiem.

— A czy on cię kocha?

— Trudno mi powiedzieć.

— Ale on ci się podoba?

— Nie wiem.

— Musisz wiedzieć. Kochaliście się już czy nie? To chyba proste pytanie.

— W tym cały problem.

— Nie rozumiem.

— Kiedy on mnie całuje...

— Nie podoba ci się to?

— To nie o to chodzi, ja...

— Tak?

— Wtedy rodzi się we mnie jakaś agresja i... zaczynam wariować.

— To znaczy, chcesz powiedzieć, że tracisz panowanie nad sobą?

— Dokładnie mówiąc... ogarnia mnie uczucie złości i smutku, i jakieś poczucie winy, wszystko naraz. Ostatnim razem... zupełnie nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Krzyczałam na Adama. Mówiłam straszne rzeczy... Wiesz, John, to co powiedziałeś wcześniej, jest prawdą. Przepraszam, że kazałam ci wyjść... Mam wrażenie, że z każdym dniem jest ze mną coraz gorzej. Boję się, że zwariuję. I jeszcze ten sen...

— Tak?

— Samochód. Rusza i...

— Mów dalej.

— Ktoś krzyczy. Te krzyki są we wnętrzu mojej głowy...

— Tak?

— Samochód jedzie. Ja próbuję biec, ale nie mogę. Moje nogi są jak z waty...

— Tak?

— Upadam na cement...

— I co wtedy?

— Czołgam się... ale nie mogę dotrzeć tam na czas. I wtedy... widzę te oczy...

— Czyje oczy?

— Patrzą na mnie... Wtedy słyszę przeraźliwy, głośny zgrzyt w mojej głowie. Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt.. Nie mogę tego znieść! Doprowadza mnie to do szaleństwa... I wtedy... — Zasłoniła twarz dłońmi. — Nie mogę, nie chcę już więcej o tym myśleć.

— Spróbuj.

— Proszę, John...

— Musisz.

— Nie mogę... Tam jest rysunek...

— Gdzie?

— Pod telefonem—

Zaczęła płakać. Dotknął jej dłoni.

— Wypij kawę, a ja zobaczę, co to jest

Przyniósł kartkę papieru i usiadł przy niej. Patrzył na rysunek przez chwilę.

W pokoju słyhać było tylko ciche łkanie Melindy. John podszedł jeszcze raz do biurka i zabrał z niego ołówek. Podał go Melindzie.

— Po co mi to?

— Narysuj, jak to widziałaś.

Otrząsnęła się. Wzięła od niego kartkę i podłożyła pod nią książkę ze stolika.

— Nie wiem... — Zamknęła oczy.

— Może to była droga z drzewami rosnącymi wzdłuż chodnika? — zasugerował.

— Nie, to nie była ulica...

— Więc co?

— To było... — Zacisnęła wargi i zaczęła rysować. — To wyglądało jak... — Widziała zarys budynku. Wysoki dach, drzewa i podjazd. Nagle zaczęło pojawiać się przed jej oczami więcej szczegółów. W końcu ujrzała ceglany dom.

Zatrzymała się na chwilę. Patrzyła na rysunek.

— Te drzewa — powiedział John, patrząc jej przez ramię. — One rosną na południu. Nie mogłaś ich widzieć tutaj.

— Hm. Tak, myślę, że masz rację.

— Mieszkałaś na południu?

— Przyjechałam tu z Melbourne. Przedtem... Nie pamiętam, gdzie... Powiedzieli, że jest luka...

— Kto ci powiedział?

— Ludzie w szpitalu.

— W jakim szpitalu?

— Nie wiem. Nie chcę już więcej o tym myśleć, John, jestem bardzo zm...

Przerwała, bo zadzwonił telefon.

— To Adam — powiedziała. — John... Nie chcę z nim rozmawiać...

— Ja również.

— Wiem, ale jeśli nikt nie odbierze, to on będzie się martwił. Czy... mógłbyś... ?

— Co mam mu powiedzieć?

— Nie wiem. Pomyśl o tym... Powiedz mu, o czym rozmawialiśmy.

— Jesteś pewna?

— Musisz dać mu jakieś rozsądne wyjaśnienie, dlaczego wciąż tu jesteś, prawda?

Przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę. Jeszcze na chwilę zasłonił ją dłonią.

— Melindo, to naprawdę nie będzie dobre, jeżeli...

— Wiem, ale czuję się tak... Powiedz mu, że zadzwonię do niego rano, jeśli zostawi numer...

Wsunęła nogi pod koc i owinęła nim stopy i kolana. Położyła się na poduszce i zamknęła oczy. Słyszała, jak John niepewnie mówił „hallo”, ale już zasypiała.

Z oddali dobiegały dźwięki piosenki o niejakej Anabel. Odwróciła się, podkurczyła kolana i naciągnęła koc na głowę. John rozmawiał z Adamem. Dobry, stary John. Spokojny i opanowany. On wszystko rozwiąże... Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, był głos Johna mówiący: „Ona nie może tak dłużej... Dlaczego nie... ?” Zdawało jej się, że słyszy go coraz słabiej.

Po kilku chwilach była już zbyt śpiąca, by cokolwiek zrozumieć z potoku zlewających się słów...

SAMOCHÓD RUSZYŁ. BIEGŁA. UPADŁA. CEMENT ZDARŁ SKÓRĘ Z JEJ DŁONI I KOLAN. USIŁOWAŁA KRZYCZEĆ. CZOŁGAŁA SIĘ PO CEMENCIE. SPOSTRZEGŁA OCZY, KTÓRE PATRZYŁY NA NIĄ. NIE WIDZIAŁA DOMU, ALE MYŚL O NIM NIE DAWAŁA JEJ SPOKOJU. KRZYKNEŁA. SAMOCHÓD ZATRZYMAŁ SIĘ.

ZA PÓŹNO... SŁYSZAŁA ZGRZYTANIE KÓŁ. ZGRZYT, ZGRZYT, ZGRZYT...

Rozdział szósty

Obudziła się po południu. Johna już nie było. Wzięła prysznic, ubrała się, włożyła do torby ołówki i notes i już niemal była za drzwiami, gdy zadzwonił telefon.

— Myślałem, że zadzwonisz do mnie, gdy tylko się obudzisz — powiedział Adam z wyrzutem w głosie.

— Spałam bardzo długo. Przepraszam. Muszę już lecieć. Spóźnię się na spotkanie.

— To może zaczekać kilka minut

— Nie, nie może. Będę musiała...

— Ależ może. Wyrzucę cię z pracy, jeśli odłożysz słuchawkę.

— Nie zrobisz tego.

— Zrobię.

Ziewnęła i odrzuciła do tyłu włosy. Podniosła ołówek leżący na zrobionym przez nią wczoraj szkicu. John zapomniał go zabrać. Patrzyła na rysunek. Zrobiła jeszcze kilka kresek, dorysowała kilka drzew...

TAM POWINNY BYĆ OGRODY... WŁAŚNIE TU, GDZIE ROSŁY KLOMBY RÓŻ, A Z TAMTEJ STRONY DOMU BYŁ GARAŻ I OGRÓD WARZYWNY...

— Melinda? — powiedział Adam.

— Hm...

— Melinda.

— Tak? — Spojrzała w narysowane przez siebie oczy. Nie chciała już więcej próbować... Ale reszta szczegółów...

Z DRUGIEJ STRONY DOMU BYŁA OTOCZONA DRZEWAMI ŚCIEŻKA, PROWADZĄCA W DÓŁ ZBOCZA... BYŁ TEŻ KORT TENISOWY, BASEN I MAŁE BOISKO... A DALEJ ZA DOMEM STAŁ MNIEJSZY DOMEK, GDZIE MIESZKALI PAŃSTWO PHIL... PHIL...

— Melinda!

— Ja... Och, przepraszam. Ja właśnie... Ten rysunek... Właśnie przypomniałam sobie kilka szczegółów.

Zacisnęła wargi i rysowała dalej.

— Melindo, jestem na lotnisku. Będę w Brisbane za kilka godzin.

— Co?

— Nie słuchasz. — Jego ostry ton przywrócił ją do rzeczywistości.

— Przepraszam. Wracasz? Dlaczego? Myślałam, że masz tam więcej do zrobienia. Mówiłeś, że wysunięto jakieś oskarżenie przeciwko gazecie.

— Myślę, że teraz już wszystko będzie dobrze. Charlie, zastępca redaktora, jest młody, ale bystry. Poza tym wyznaczyłem mu jeszcze kilka innych osób do pomocy, zresztą... Nieważne. To nie ma już teraz znaczenia. Chciałem ci tylko powiedzieć, że przed wieczorem będę w domu.

Po wizycie w szkole dla głuchych Melinda wróciła do biura, by napisać artykuł. Gdy skończyła, uśmiechnęła się do siebie. To niezwykle, ile radości było w tych dzieciach, mimo że miały tak niewiele powodów do śmiechu.

— Wygląda to nieźle.

Przeglądając notatki, uświadomiła sobie, że Adam stoi za nią i obserwuje ją przy pracy. Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Tęskniłam za tobą — powiedziała. — Kiedy wróciłeś?

— Przed chwilą. — Miał na sobie bardzo wytworny ciemny garnitur i czarny jedwabny krawat. — Chciałbym cię pocałować, tu, w tej chwili — powiedział aksamitnym głosem.

— Ludzie będą mieli powód do plotek — zauważyła czując, że się rumieni.

— Chodźmy gdzieś, gdzie będę mógł...

— Co będziesz mógł?

— Pocałować cię. Mogę nawet zabrać cię na kolację.

— Będę musiała jechać do domu, żeby się przebrać.

— Nonsens. Podobasz mi się w błękicie. Wyglądasz wspaniale.

Był już późny wieczór, gdy dotarli do górskiej restauracji za miastem.

Stali na tarasie. Melinda odwróciła głowę i zapatrzyła się w ostatnie purpurowe promienie zachodzącego za horyzont słońca. Zanim zorientowała się, co się dzieje, Adam przyciągnął ją do siebie. Dotyk jego ust był ciepły, miękki i delikatny.

— Mówiłem, że będę chciał cię pocałować.

— I zrobiłeś to.

W duchu pomyślała, że ten pocałunek mógł być bardziej namiętny. Adam cofnął się, jakby go coś dręczyło. Zamówił gulasz i czerwone wino. Gdy pili kawę, powiedział:

—Byłem na obiedzie z twoim przyjacielem, Johnem.

Melinda odstawiła swoją filiżankę tak szybko, że dało się słyszeć głośnie stuknięcie o talerzyk. Nic nie powiedziała.

— Spotkałem go na lotnisku — powiedział.

— Ach!

— Umówiliśmy się telefonicznie ostatniej nocy.

— No tak.

— To bardzo sympatyczny facet

— Tak, rzeczywiście.

— Nie zapytasz, jaki był cel tego spotkania?

— Wygląda na to, że masz nade mną przewagę. Brak mi słów. Co za zmiana. Ostatniej nocy usiłowałeś wyrzucić go z mojego mieszkania, a teraz...

— On niepokoi się o ciebie.

— Spędziliście więc razem popołudnie, rozmawiając o mnie — mówiła, popijając kawę.

— Mniej więcej. Nie posłodziłaś swojej kawy. Chcesz jedną łyżeczkę czy dwie?

— Jedną.

— Rozmawialiśmy o twoim zdrowiu — powiedział, słodząc jej kawę.

— Doprawdy? A dlaczego mnie nie zaproszono na to spotkanie? Chyba mam prawo wiedzieć, co...

— Musieliśmy omówić kilka rzeczy.

— Jakich rzeczy?

— Trudno by mi było opowiedzieć ci to wszystko dokładnie.

Najważniejszym wnioskiem, do jakiego doszliśmy, jest to, że powinnaś wziąć urlop.

— Rzeczywiście! — Uniosła głos. — Powiedz jeszcze, że zarezerwowaliście mi miejsce w hotelu! Czy uważacie mnie za osobę pozbawioną możliwości decydowania o własnym losie?

— Wybraliśmy również cel twojej urlopowej podróży.

— A co, jeśli nie będę chciała wyjechać?

— Pamiętaj, że to ja jestem szefem.

— Myślę, że większość szefów nie jest tak despotyczna.

Zdecydowaliście też, który z was będzie towarzyszył mi w tej podróży czy też macie zamiar się mną dzielić?

— Jesteś zła?

— Lubię sama decydować o własnym życiu.

— Ależ, nikt ci tego prawa nie odbiera.

— Ale mam wyjechać na przymusowe wakacje.

— To tylko... Pomyślałem, że to będzie dla ciebie najlepsze.

Melinda bawiła się łyżeczką. Wyjęła ją z kawy i rzuciła z brzękiem na talerzyk. Patrzyła na Adama. Jego szare oczy spoglądały na nią łagodnie, ale jednocześnie była w nich jakaś nieustępliwość, której nie mogła się oprzeć. Wiedziała, że zrobi to, czego on chce.

— Powiedzmy, że się zgodzę. Co wtedy? Gdzie mam jechać?

— O tym pomówimy później. Najpierw muszę być pewien, że się zgadzasz.

— Ty jesteś szefem, jak powiedziałeś. Możesz mnie zwolnić z pracy.

— Nie zrobiłbym tego, wiesz o tym... — Pochylił się ku niej i ujął jej dłoń. Opuściła głowę. Jego miękki głos doprowadzał ją niemal do łez.

— Dobrze... tak, zgadzam się.

Gdy wrócili do domu, zaparzyła mu kawę. Potem zdjęła buty i opadła na kanapę, trzymając w ręku szklankę soku pomarańczowego. On skończył szybko pić i odniósł filiżankę do kuchni. Wracając zauważył rysunek Melindy, leżący na biurku. Podniósł go, usiadł i przyglądał mu się przez jakiś czas. Potem wrócił do niej.

— Przybliź się... — powiedział, wyciągając ramiona.

Gdy to zrobiła, przytulił ją mocno. Zanurzył twarz w jej złotych włosach.

— Chciałbym... — Głos mu się załamał.

Ona objęła ramionami jego kark i wsunęła dłonie za koszulę.

— Chcę... — Nie dokończył, zaczął ją całować. Potem ona, głaszcząc jego kark, zaczęła całować

gładką skórę jego szyi.

— Potrzebuję... — Objął ją tak mocno, że przez chwilę nie mogła złapać oddechu.

Potem wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Delikatnie, niemal z czcią położył ją na łóżko, jakby bał się, że to uczucie więzi, które ich łączy, może nagle zniknąć na zawsze.

Położył się przy niej cichutko. Leżeli tak przez jakiś czas. Patrzył na nią, nic nie mówiąc i nie poruszając się. Minuty mijały. W sypialni wciąż panowała cisza. Melinda spojrzała na Adama i dostrzegła w jego oczach coś, co bliskie było uwielbienia.

— Byłem taki samotny... — powiedział.

Jego pocałunek był równie delikatny, jak wyszeptane słowa. Uniósł rękę i zaczął głaskać jej włosy. Całował ją powoli, delikatnie, w milczeniu. Zrozumiała, że Adam boi się posunąć za daleko. Boi się, że ona...

Że ona mogłaby...

Wiedziała, dlaczego jest taki ostrożny... Kiedy zdała sobie z tego sprawę, w jej głowie pojawiły się te niespokojne, dręczące ją od dawna myśli.

Adam szybko wyczuł zmianę, jaka nastąpiła w Melindzie i zanim zdążyła się poruszyć lub cokolwiek powiedzieć, zatrzymał się.

— Nie powinienem był... — W jego głosie można było wyczuć zmieszanie. Delikatnie odsunął się od niej.

Melinda usiadła nagle i zsunęła nogi na podłogę tak, że była odwrócona do Adama plecami. Miała mocno zaciśnięte pięści. Wszystkie mięśnie jej ciała zaczęły drżeć. Sprawiała wrażenie, jakby było jej bardzo zimno.

Czuła, jak narasta w niej gniew. KOBIETA stale obecna w jej umyśle BYŁA ZŁA. KRZYCZAŁA: „TO BYŁ JEGO BŁĄD! TO BYŁ JEGO BŁĄD!”

Melinda zamknęła oczy.

— Proszę, nie pozwól mi... — mówiła cicho. Odwróciła się i spojrzała na Adama. Leżał wciąż.

Wyglądał, jakby się czegoś bał. Skupiony czekał na wybuch gniewu.

— Nie powinienem był... — powtórzył. Odwróciła się od niego, zaciskając wokół siebie ramiona. Czuła przechodzący ją dreszcz i dziwne ukłucia w całym ciele. Powoli poruszyła się w przód, potem w tył, w przód, w tył. Kołysała się, powtarzając sobie: „Muszę zachować spokój. Jeżeli teraz wybuchnę, stracę go na zawsze. Pomyśli, że jestem szalona... On — na — pewno — myśli — że — jestem — szalona — Kołyszę — się — jak — niedorozwinięte — dziecko — Gdybym — mogła — mu — powiedzieć — jakie to — uczucie — mieć — w — sobie — wybuchający — wulkan — może — by — zrozumiał. ”

Wciąż kołysała się z zaciśniętymi wokół siebie ramionami. Adam mówił do niej, ale ona nie mogła zrozumieć sensu jego słów. Wciąż kołysała się.

DEMON MÓWIŁ: „ON MYŚLI, ŻE JESTEŚ SZALONA, SZALONA, SZALONA. MÓWI DO CIEBIE, A TY NAWET NIE ODPOWIADASZ. SZALONA... ”

— Co... co powiedziałeś? — zapytała.

— Pytałem, czy dobrze się czujesz?

— N-n-nie. Nie czuję się dobrze.

— Zrobić ci kawy? Nie odpowiedziała.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym usiadł tu, przy tobie? — Wstał szybko i podszedł do niej.

— Proszę, nie podchodź za blisko. Powiedział coś, ale znowu nie zrozumiała. Jego głos oddalał się. Była świadoma, ale nie mogła nic zrobić, by temu zapobiec. Koszmar powracał. Przed oczami pojawiły się obrazy.

— Pomóż mi! — płakała. — Ja nie śpię... Ja nie śpię, ale ten sen przyszedł. Jak mogę śnić, skoro nie śpię? Och, Adam! Powstrzymaj to!

CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ. WIDZIAŁA WSZYSTKO, JAKBY OGLĄDAŁA PUSZCZANY W ZWOLNIONYM TEMPIE FILM. SAMOCHÓD RUSZYŁ. USIŁOWAŁA BIEC. UPADŁA I UDERZYŁA SIĘ O CEMENT. POCZUŁA PRZERAŻLIWY BÓL W DŁONIACH I KOLANACH. SŁYSZAŁA PRZERAŻAJĄCY KRZYK. CZOŁGAJĄC SIĘ SPOJRZAŁA W GÓRĘ. KIEROWCA NIE MIAŁ TWARZY. SPUŚCIŁA GŁOWĘ. OCZY PATRZĄCE NA NIĄ MIAŁY W SOBIE DZIWNY SPOKÓJ. GDY PATRZYŁA NA NIE Z LĘKIEM, POWOLI ZACZĘŁY SIĘ ZMIENIAĆ. STRACIŁY SWÓJ BLASK, ŚWIATŁO, ŻYCIE.

ZACZĘŁA SIĘ KOŁYSAĆ... W PRZÓD I W TYŁ, W PRZÓD I W TYŁ...

Rozdział siódmy

Wciąż siedziała na łóżku kołysząc się. Krzyki, które słyszała, stawały się coraz głośniejsze.

Gdy zaczęła łkać, Adam, nie zważając na okazywaną mu wcześniej niechęć, usiadł przy niej.

— Już dobrze, już dobrze. — Gładził jej włosy. Zrobił ruch, jakby chciał objąć ją ramieniem, ale

zawahał się i opuścił rękę. Widziała, że chciał zbliżyć się do niej, ale coś go powstrzymało.

Z początku Melinda nie była w stanie nic powiedzieć. Usiłowała opanować łkanie i po jakimś czasie udało jej się to. Chciała powiedzieć Adamowi o tym koszmarze,

— J-a-nie-s-spałam... — Jej głos załamywał się i drżał. — Widziałam to, a nie spałam. Och, Adamie, co się ze mną dzieje?

Spostrzegła, jak drżała mu dłoń. Trzymał w niej chusteczkę, którą wycierał łzy z jej policzków. To ją trochę uspokoiło. Chwyliła go za rękę i zamykając oczy, zaczęła delikatnie całować jego dłoń.

Usłyszała ciche westchnienie.

— Nie rób tego... — powiedział stłumionym głosem.

Objęła go i przytuliła mocno. Chciała wytłumaczyć mu wszystko. Na początku nie mogła znaleźć słów.

— Tam był samochód — powiedziała.

— Melindo...

— ... a ja biegłam, chciałam zdążyć na czas... — mówiła szybko, urywając zdania.

— Proszę... — powiedział, po czym zamknął oczy.

— Upadłam...

— Melindo...

— Czołgałam się...

— Melindo... !

— Patrzyłam na...

— Melindo, proszę... !

Wypuścił ją z ramion. Wstał i przeszedł przez pokój. Otworzył okno. Wychylił się przez nie, przytrzymując się metalowej klamki. Melinda widziała, jak jego ramiona unosiły się wysoko. Widocznie nabierał powietrza głęboko do płuc.

Zaczęła się domyślać, co było powodem jego zachowania. Zawołała go, ale nie odpowiedział.

— Adamie? — powtórzyła. — Adamie, dobrze się czujesz?

Kiwnął głową.

— Myślisz, że jestem szalona, prawda?

— Nie!

— Właśnie, że tak, powiedz prawdę.

— Nie! Nie o to chodzi!

— A zatem, o co chodzi!

Splótł dłonie i oparł na nich głowę.

— Nie myślę, że zwariowałaś — powiedział szybko.

— Ależ tak, tak myślisz. Nie chcesz nawet siedzieć przy mnie.

Musiałaś wstać i odejść tam.

— Melindo, ja...

— Zastanawiasz się nad tym, w jaki sposób rozstać się ze mną. Jak mi powiedzieć, że nie chcesz się już więcej ze mną widywać. O to chodzi, prawda? Cóż, zatem nie musisz tego mówić...

— Nie!

— Nie musisz mi nic wyjaśniać. Nie jestem aż tak przewrażliwiona...

— Przerwała, gdy uderzył pięścią w metalowy parapet za oknem.

Na jego dłoni pojawił się czerwony ślad.

— Na miłość boską, Melindo...

— Nie chcesz nawet o tym mówić, prawda?

Spojrzał na zranioną dłoń. Wyciągnął chusteczkę i wytarł krew. Potem spojrzał na Melindę. Wyglądało na to, że starał się zebrać myśli. Wrócił do niej i usiadł na łóżku. Ucałował ją delikatnie w czoło.

— Zapomnijmy o mnie. Pomówmy o tobie... i tych wakacjach. John może wziąć urlop. Powiedział, że mógłby pojechać z tobą.

— A ty?

— Ja... Chodzi o to...

— Tak?

— Przy Johnie będziesz spokojniejsza.

— Spokojniejsza?

— Myślę, że będziesz potrzebowała tyle sił, ile tylko będziesz w stanie zebrać.

— Dlaczego?

— Bo pojedziesz do Melbourne, by zbadać, co cię tak niepokoi.

— Skąd wiesz, że przyjechałam tu z Melbourne?

— John mi powiedział.

— A jak będę mogła to... zbadać?

— Och, poradzisz sobie. Jesteś dziennikarką. Postaraj się ustalić, co tam robiłaś, jakiej muzyki słuchałaś. Zadaj sobie kilka pytań.

— Gdy pomyślę o tym, zaczynam się bać.

— Nie myśl o tym, po prostu zrób to.

Melinda i John odlecieli samolotem linii Newell Highway, lecącym z południa na zachód przez Nową Południową Walię w kierunku Wiktorii.

W kraju panowała susza. Zanim dotarli na pierwszy postój, włosy Melindy upodobniły się do wyschniętej trawy. Niemiłosiernie bolała ją głowa. Z okien widać było umierające z głodu bydło, którego jedynym pożywieniem były liście drzew rosnących na wyschniętych połaciach ziemi.

Oboje odetchnęli z ulgą, gdy zatrzymali się na noc w mieście, przez które przepływała rzeka. Tam przynajmniej rosła zielona trawa i rozłożyste wierzby, pod którymi można było znaleźć trochę cienia.

Przespacerowali się trochę po tym mieście, by rozprostować nogi.

Zaraz po zachodzie słońca odleciał na północ jakiś samolot. Melinda patrzyła, jak wznosił się ponad horyzont żałując, że nie siedzi w nim i nie wraca do Brisbane, do Adama.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział John. — Gdy wrócimy do motelu, będziesz mogła wcześniej położyć się spać, młoda damo.

Uśmiechnęła się do niego, a on objął ją po przyjacielsku ramieniem.

— Jutro będziemy w Melbourne — dodał.

Później, gdy położył ją do łóżka i ucałował na dobranoc, zasnęła z poczuciem bezpieczeństwa.

W Melbourne o tej porze roku pogoda była bardzo zmienna. Na obrzeżach miasta było słonecznie i ciepło, a w centrum wiał zimny wiatr. Był tak zimny, jakby wiał z Antarktydy.

John miał przyjaciół w dzielnicy Carlton. Była to para młodych aktorów, Malcolm i Nancy Lewis. Mieszkali w domu stojącym naprzeciwko małego zaułka Lygon Street.

Oboje powitali ciepło Melinę i zaprosili do środka. Nancy nalewając kawę, wyjaśniła Melindzie, że ona i jej mąż studiowali razem z Johnem w tej samej szkole dramatycznej, a potem „głodowali” i dzielili wspólne mieszkanie, szukając pracy.

— Przez pierwszych sześć miesięcy nie mieliśmy pieniędzy nawet na jedzenie. Wówczas John zaczął pracować w renomowanej firmie, a Mal w telewizji. Jakież to było dalekie od „Śmierci komiwojażera”, którą robiliśmy w szkole. Tak naprawdę, on robił reklamy. — Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. — Chodziło o taki magiczny proszek do prania, który usuwa wszelkie plamy.

Nancy pełna była afektacji, ale Melinda wyczuwała pod tą maską ciepło.

Mal był dobrze zbudowanym ciemnowłosym mężczyzną o intensywnie niebieskich oczach. Był cichy i raczej nie przyłączał się do rozmowy. Wyglądało na to, że Nancy mówiła za nich oboje. Tylko czasem, gdy miał ku temu okazję, dzielił się swoimi uwagami na temat codziennych wydarzeń lub opowiadał anegdoty usłyszane w pracy.

John chciał zobaczyć wszystkie przedstawienia wystawiane w mieście. Namówił więc Melinę i Lewisów, by towarzyszyli mu w wyprawach do teatru.

Dni upływały im na zwiedzaniu i zakupach. Czasami Mal i Nancy zabierali ich na jednodniowe wycieczki.

Przez cały czas, odkąd przyjechali do Melbourne, Melinda wyczuwała, że John coś przed nią ukrywa. Wiedziała, że ją obserwuje i czeka na jej odkrycia.

Czuła w sobie narastające napięcie. Zaczęła przypominać sobie drobne wydarzenia z przeszłości. Pokazała Johnowi redakcję gazety, w której przez jakiś czas pracowała.

— A co robiłaś potem? — zapytał. Spojrzała na niego.

— Pracowałam w... Nie. Miałam tu wielu przyjaciół i byłam szczęśliwa. Potem... potem... Nie pamiętam. — Patrzyła na niego zrezygnowana.

Zaczęła płakać, a wtedy on szybko przytulił ją do siebie.

— Nieważne — powiedział. — Wyjedźmy z miasta. Nie widziałem jeszcze, jak wygląda plaża na południowym wybrzeżu.

— Wróćcie na kolację — powiedziała Nancy, machając im na pożegnanie. — Pójdziemy do greckiej restauracji na Lygon Street

— Zgoda — odpowiedział John.

Jechali na południowy zachód pośród mgły unoszącej się nad Geelong, a potem w dół, ku plaży, po Great Ocean Road.

— Mam nadzieję, że mimo wszystko warto to zobaczyć — powiedział John. — Tu jest za dużo zakrętów jak na mój gust — dodał.

— Może to nie jest dobry moment, aby ci o tym mówić, ale tędy kierowcy przejeżdżają zazwyczaj z wciśniętym klaksonem. — Zaśmiała się. — Jechałam tędy kilka lat temu z... — Urwała.

John rzucił na nią krótkie spojrzenie. Usiłowała coś sobie przypomnieć.

— Jechałam tędy z... Miałam wrażenie, że on bierze zakręty zbyt..
Siedziałam z Jer... — Dłońmi mocno przyciskała skronie. Wargi jej drżały,
była bliska płaczu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał John. — Zatrzymam się za
następnym zakrętem.

— Nie, nie rób tego. Czuję się dobrze. Ja tylko... niemal że
powiedziałam... Przez chwilę myślałam...

Wyciągnął jedną rękę i dotknął jej dłoni.

— Nie martw się — powiedział łagodnie. — To nie ma znaczenia.

— Ale ja niemalże...

— Wiem. Jeszcze sobie przypomnisz.

— Mogę już nigdy...

— Ależ, stanie się to, na pewno. Zaufaj mi.

W miasteczku zatrzymali się na kawę. Uliczkę wypełniał rząd
mniejszych i większych barów i kafejek. Naprzeciwko plaży znajdował się
mały park, gdzie zjedli po hamburgerze. Potem przeszli się brzegiem morza.
Skłębione fale uderzały z hukiem o falochron. W powietrzu unosiły się
białoszare ptaki o pięknych czerwonych dziobach. Głośno sprzeczały się o
resztki jedzenia. John zaczął rzucać im okruchy.

Wrócili przez park i zatrzymali się na odpoczynek pod koroną jakiegoś
rozłożystego drzewa, które wyglądało tak, jakby stało tam niewzruszenie od
wieków.

— To nadbrzeże... — mówiła Melinda. — Mogłabym niemal przysiąc,
że łowiłam tu... — Zapatrzyła się przed siebie, po czym potrząsnęła głową.
— To odeszło...

Potem wstali i szli równolegle do plaży. John podniósł leżącą na
drodze szyszkę sosnową i podał Melindzie.

— To prezent — powiedział.

—Zatrzymam ją na pamiątkę. — Uśmiechnęła się. Wracali do Melbourne inną drogą, przez Otways i Colac.

Melinda uniosła dłoń, by przesłonić oczy przed promieniami słońca. Spojrzała w lewo, na przyległe do drogi pola i nagle wzięła głęboki oddech.

— Co się stało? — zapytał John, spoglądając na nią z ukosa.

— Przed nami jest zakręt, widzisz? Spójrz na most zawieszony ponad strumieniem.

— Tak, widzę.

— Mógłbyś zwolnić?

Zwolnił łagodnie i zjechał na pobocze. Pochyliła się do przodu i patrzyła uważnie w tamtą stronę.

John przyglądał się twarzy Melindy, jakby chciał poznać jej myśli.

— Czy moglibyśmy... ? —zapytała.

John ruszył bez dodatkowych wyjaśnień i przejechał przez most.

Wjechali w jedną z takich wąskich dróg prowadzących donikąd.

Nawierzchnia pokryta była czarnym żużlem. Nie było w niej dziur ani wyrw. W każdym razie, wyglądała na używaną. Minęli otoczone wierzbami jezioro. Na pastwiskach wygrzewało się w słońcu bydło. Dalej rosło zboże z lekka falujące na wietrze.

W końcu ujrzeli przed sobą ceglany dom.

Melinda otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zaciskała i otwierała dłonie. W pewnym momencie złapała Johna za ramię. Znowu usiłowała coś powiedzieć, ale sprawiało jej to wielką trudność.

— Zaraz wjazd, stara drewniana brama —powiedziała w końcu. — Jest tam jeszcze jeden dom, dla zarządcy, kilkaset metrów za tym. Nie widać go stąd. Mieszka tam z żoną człowiek o nazwisku Philips. Oni zarządzali

tutaj... Często przyjeżdżaliśmy tu na weekendy. Na stałe mieszkaliśmy w Melbourne.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła nos. Przełknęła szybko ślinę, by uspokoić głos.

— John, nie chcę dalej jechać. Mógłbyś się zatrzymać? Proszę.

Spojrzał na nią szybko i zjechał na pobocze.

— Jest tak zimno — powiedziała. — Cała się trzęsę.

— Tutaj... — Sięgnął na tylne siedzenie. — Tu jest twój płaszcz.

Zarzucił go jej na ramiona i złapał ją za rękę.

— Twoje dłonie są zimne jak lód.

— To, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną... To dobrze... To jest jak sen. Myślę, że znam to i jeszcze... Może to nie tak. Może to tylko pobożne życzenia.

Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do skroni.

— To wszystko jest tak ulotne i niewyraźne. Czasami myślę, że już coś wiem, ale to zaraz mija... rozplywa się jak we mgle.

— Wiem — powiedział ciepło. — Do tego trzeba trochę czasu. Potrzebujesz po prostu czasu.

Opuściła ręce i otworzyła oczy. Patrzyła na niego. Widział, jak starała się coś sobie przypomnieć*. Sprawiała wrażenie, jakby go nie widziała i dopiero po chwili uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Jedźmy stąd — powiedziała. — Wracajmy na drogę. Jedźmy i napijmy się gdzieś kawy.

— Nie chcesz jechać dalej? Potrząsnęła głową.

— Nie teraz. Boję się, John. Teraz po prostu się boję. Nie chcę zbliżyć się do tego domu. Nie dzisiaj. Może jutro...

— Myślę, że powinnaś to zrobić teraz.

— Nie, John — odpowiedziała. — Nie mogę, nie teraz.

Wzięła głęboki oddech.

— Ale jesteśmy już tak blisko. Nie ma się czego bać.

— Proszę... — Palcami zakryła jego usta. — Proszę, nie mów już nic więcej...

Włączył silnik.

— Jeżeli tego właśnie chcesz. — Zawrócił i skierował samochód ku głównej drodze. — Nigdy nie myślałem, że mogłabyś stchórzyć, Melindo.

— Nie — powiedziała nieco gwałtownie. — To nie tak. Po prostu, jeszcze nie nadszedł ten dzień. Nie dzisiaj.

— Dziś, jutro, pojutrze. Co za różnica? Wcześniej czy później będziesz musiała to zrobić. Chyba, że masz zamiar zostawić to tak, jak jest, ale to naprawdę nie jest...

Urwał, gdy spojrzał na jej twarz. Była blada jak papier. Miała zaciśnięte wargi i zamknięte oczy. Jej dłonie ścisnęły nerwowo chusteczkę.

— Nie! — Wyszepiała. — Och... To powraca... Ja nie śpię, a mimo wszystko widzę to... Och!

SAMOCHÓD RUSZYŁ. ZBIEGŁA ZE SCHODÓW. POTEM PRZEBIEGŁA TRAWNIK. POTKNEŁA SIĘ O KRAWĘŻNIK. POCZUŁA, ŻE UPADA. CZOŁGAŁA SIĘ, A KAMYKI WBIJAŁY SIĘ W SKÓRĘ KOLAN I DŁONI. MUSIAŁA DOSTAĆ SIĘ TAM, ZANIM... SPOJRZAŁA W DÓŁ I ZOBACZYŁA, ŻE BYŁO JUŻ ZA PÓŻNO... WTEDY TRZYMAŁA GO, KOŁYSZĄC SIĘ I KRZYCZĄC: „JEREMY! JEREMY! JEREMY!”

Rozdział ósmy

— Jeremy! — krzyknęła, siedząc w samochodzie obok Johna.

John zatrzymał wóz i objął ją, uspokajając ramieniem.

— Jeremy! — łkała.

— Nie płacz — powiedział cicho John. — Już dobrze. Jestem przy tobie.

Trzymał ją i głaskał po głowie jak dziecko. Począł, aż się uspokoi, a potem zawrócił szybko do Carlton.

Nancy, gdy tylko ujrzała Melinę. Pobiegnęła do kuchni, zaparzyła jej mocnej herbaty. O nic nie pytała. Po wypiciu gorącego napoju, Melinda poczuła się lepiej. Kiwnęła głową w stronę Nancy. Nie była w stanie jej podziękować.

— Ona potrzebuje odpoczynku — wyjaśnił John. Gdy położyli ją do łóżka, niemal natychmiast zapadła w głęboki sen.

Nie obudziła się na kolację i spała później jeszcze przez całą noc. Gdy otworzyła oczy, promienie porannego słońca rozświetlały sypialnię. Słyszała dobiegający zza okien gwar ulicy. Gdzieś tam przelatowały i gruchały gołębie. Stukotały przejeżdżające tramwaje.

Nancy weszła z taca, na której niosła parującą kawę, tosty i jajka.

— Obsługa hotelowa — powiedziała z uśmiechem.

Melinda była jej wdzięczna, że ani słowem nie wspomniała o wczorajszym zajściu.

— Nancy, jesteście tacy dobrzy, ty i Mal. Doprawdy, nie wiem, jak mam wam dziękować. Nie zadajesz żadnych pytań. Wiedziałam, że oboje

byliście bardzo zaniepokojeni. Myślę, że winna wam jestem kilka wyjaśnień.

— Nic nie jesteś nam winna — odpowiedziała Nancy życzliwym tonem. — Jesteś przyjaciółką Johna. To wystarczy.

— Chciałabym ci powiedzieć... — Wskazała miejsce na łóżku obok siebie i opowiedziała całą historię od początku.

Nancy zmarszczyła brwi, gdy Melinda zaczęła mówić o koszmarach sennych, które pojawiały się na jawie, ale nic nie powiedziała. Słuchała i czekała na koniec opowieści.

— W takim razie masz niemałe zmartwienie — powiedziała, ujmując dłoń Melindy.

— Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło, bym mogła zacząć nowe życie. Może gdybym wróciła do Brisbane...

Nancy potrząsnęła głową.

— Myślę, że twój przyjaciel Adam ma się dobrze. Musisz uwolnić się od tego koszmaru, dopiero wtedy będziesz mogła wrócić do Brisbane.

— Za każdym razem, gdy zaczynam sobie coś przypominać, wpadam w panikę. Wtedy przestaję myśleć.

— To dlatego, że bardzo się boisz. Nie powinnaś poddawać się takim uczuciom. One tylko przeszkadzają ci w rozwiązaniu tej zagadki. Tak jak wczoraj, gdy zobaczyłaś ten dom, uciekłaś...

— Nie mogłam inaczej.

— Zawsze najbardziej boimy się tego, co nieznane. Myślę, że powinnaś jak najszybciej dowiedzieć się, co to jest, nawet jeśli miałyby to być dla ciebie bolesne.

Wszedł John.

— Wypiłaś tylko kawę. Musisz coś zjeść.

— Wiem. Później. Teraz mam wiele rzeczy do przemyślenia.

— Jakich rzeczy?

— Podjęłam kilka decyzji.

— Tak?

— Moglibyśmy wrócić do tego domu jeszcze dzisiaj? — zapytała.

Uśmiechnął się i pogłodził ją po ramieniu.

— Dobra dziewczyna — powiedział.

— Wróćcie na kolację. Myślę, że tym razem wybierzemy się wreszcie do tej greckiej restauracji — powiedziała Nancy.

— Świetna myśl — odpowiedział John.

Jadąc samochodem, Melinda wciąż myślała o tym, co może znaleźć w tajemniczym domu.

— Tam zapewne będą jacyś ludzie — odezwał się John.

— Być może. Dom wyglądał na opuszczony. Zasłony w oknach były zasłonięte. Okna pozamykane.

Przeglądała się przez otwarte okno mijanym krajobrazom i zastanawiała, czy Adam myśli czasem o niej, czy też ciągle zaabsorbowany jest problemem gazety. Wyobrażała go sobie siedzącego za biurkiem i odbierającego różne ważne telefony. A może szefowie agencji zjechali się do jego biura na naradę? Któryś z nich spiera się z nowym redaktorem, że pierwsza strona następnego wydania powinna wyglądać inaczej. Ktoś inny wtrącił słówko, ale w końcu Adam stawia na swoim.

Zawsze tak było.

Być może nie ma czasu na rozmyślanie o niej. Może przypomina sobie o niej dopiero pod koniec dnia. Kiedy wraca do swojego mieszkania w Hamilton późno w nocy, siada w swym fotelu i odpoczywa przy herbacie.

Wtedy może zastanawia się, co ona w tej chwili porabia i czy rozwiązała już problem, który tak dręczy ją od kilku tygodni.

Minęli właśnie zagajnik drzew gumowych. Błyski słońca i cienie migają jej przed oczyma. Obrazy ze snu znów zaczęły się pojawiać. Najpierw jakieś fragmenty, które zacierały się, zanim zdążyła je zrozumieć. Potem pojawił się zamazany obraz TWARZY. BLASK SŁOŃCA ROZJAŚNIŁ WŁOSY W KOLORZE LNU... Wtedy wizja rozplynęła się.

Melinda westchnęła cicho, lekko poirytowana. John spojrzął na nią.

— O co chodzi? — zapytał.

— O nic. Tak tylko... Miałam nadzieję, że przypomnę sobie...

— Nie rób nic na siłę—powiedział. — To przyjdzie samo we właściwym czasie. — Ujął jej dłoń. — Spokojnie, spokojnie... — Znowu spojrzął na nią. — Wyglądasz na zmęczoną. Widzę tu jakiś bar. Myślę, że możemy się tu zatrzymać na kawę.

Melinda kiwnęła głową na znak, że się zgadza. Krótki postój mógłby zmniejszyć jej zdenerwowanie. Poza tym, przez całą drogę rozmyślała o Adamie i teraz nagle odezwało się w niej niezwykle pragnienie, by usłyszeć jego głos. Przed barem stała budka telefoniczna. Melinda poczuła, jak zimny dreszcz przebiegł jej ciałem, gdy Marie Bonney, sekretarka Adama, powiedziała jej, że redaktora nie będzie w pracy do końca tygodnia.

— Kiedy wyjechał? — zapytała Melinda.

— A kto pyta? — Melinda niemal widziała błysk ciekawości w oczach Marie.

— Ja... — zawahała się. — Nieważne. Zadzwoń później.

Odłożyła słuchawkę, zanim sekretarka zdążyła zadać następne pytanie.

Gdy usiadła przy stoliku, John popijał swoją kawę i podał jej drugą filiżankę.

— Rozmawiałaś z nim? — zapytał.

— Nie — odparła smutnym głosem. — On wyjechał.

John patrzył na nią przez chwilę.

— Nie trap się tym — powiedział.

— Jest jeszcze coś... — dodała.

— Co?

— Nie czuję się dobrze. Znów dręczy mnie ten okropny ból głowy.

— Czy chcesz wrócić do Carlton? — zapytał zaniepokojony.

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią. Ścisnęła torebkę białymi jak papier dłońmi.

— Chcesz wracać? — powtórzył. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i zaczęła się nią

nerwowo bawić.

— N-nie wiem — odpowiedziała.

Strach zmieszany z dziwnym uczuciem złości i smutku pojawił się nagle na jej twarzy. Przez chwilę jakby się wahała, a potem zacisnęła mocno wargi.

John uśmiechnął się na ten widok.

— Dlaczego się śmiejesz? To wcale nie jest zabawne — powiedziała nieco dotknięta.

Potrząsnął głową.

— Nie, to nie tak. Chodzi tylko o wyraz twojej twarzy.

Powiedziałbym, że jest zacięty.

Piła swoją kawę w zamyśleniu. Naraz coś ją ożywiło.

— Chciałabym jechać już dalej — powiedziała w końcu.

Na łąkach pały się stada owiec i bydła. Właśnie zbliżali się do jakiegoś opuszczonego gospodarstwa. Zatrzymała na nim wzrok. Znała to

miejsce. Było częścią jej przeszłości. MIESZKALI TU JEJ SĄSIEDZI. LUDZIE O NAZWISKU EDGECOMBE. Zobaczyła też obraz drewnianej bramy przed ceglany domem w oddali.

Miała wrażenie, że śpi. Zaczęły się pojawiać dalsze szczegóły. Zamknęła oczy.

WIDZIAŁA TRAWNIK PRZED WEJŚCIEM DO NISKIEGO
CEGLANEGO DOMU...

DRZWI WEJŚCIOWE OTWORZYŁY SIĘ PRZED NIĄ. WESZŁA
DO ŚRODKA. MINEŁA PRZEDSIONEK. ZATRZYMAŁA SIĘ W
PRZEDPOKOJU I PRZEJECHAŁA DŁONIAŁĄ PO WEŁNIANEJ
TAPICERCE SZEROKIEGO FOTEŁA...

Zdała sobie sprawę, że często siadała na nim i popijając kawę, czytała poranną prasę. Stała tam porcelanowa pasterka... Bardzo ją lubiła. Dotknęła delikatnie twarzy i przejechała po fałdach ubogiej sukienki. Kochała tę małą figurkę... Na stoliku leżał złożony materiał na zasłonki. DLACZEGO? PRZECIEŻ ZOSTAWIŁA GO W SALONIE. Ktoś zabrał go stamtąd i położył tutaj. ANNA? Być może...

Zmarszczyła brwi. Te rzeczy były jej drogie, ale nie je chciała tu odnaleźć. Rozejrzała się po drugim pokoju, ale tam również nic nie było.

Wróciła do holu. POKÓJ, KTÓRY CHCIAŁA ZOBACZYĆ, BYŁ NA KOŃCU KORYTARZA. SKIEROWAŁA SIĘ TAM. TAK, TO TUTAJ. Powoli zbliżała się do drzwi.

WYCIĄGNEŁA RĘKĘ, USIŁUJĄC PALCAMI DOTKNAĆ KLAMKI. ALE TA W JAKIŚ NIEWYJAŚNIONY SPOSÓB BYŁA WCIĄŻ POZA JEJ ZASIĘGIEM. WYCIĄGNEŁA RĘKĘ JESZCZE DALEJ, ZBLIŻAJĄC JĄ POWOLI DO KLAMKI, NACISNEŁA LEKKO, ALE KLAMKA NIE PORUSZYŁA SIĘ. WIDZIAŁA, ŻE TO, CZEGO

SZUKA, ZNAJDUJE SIĘ ZA TYMI DRZWIAMI, ALE NIE MOGŁA SIĘ TAM DOSTAĆ. NIEWIDZIALNE RĘCE UNOSIŁY SIĘ PRZED NIĄ I ZACZĘŁY JĄ ODPYCHAĆ.

WALCZYŁA Z NIEWIDZIALNĄ PRZESZKODĄ. „MUSZĘ... MUSZĘ TAM WEJŚĆ— MÓWIŁA SOBIE. — MUSZĘ TO ZOBACZYĆ." ZNOWU SIĘGNĘŁA DO KLAMKI, ALE TA NAGLE ZNIKNEŁA.

ZAPŁAKAŁA BOLEŚNIE, GDY ZOBACZYŁA, ŻE CAŁY DOM ODDAŁA SIĘ OD NIEJ, ZAPADA SIĘ W TAJEMNICZĄ PRZESZŁOŚĆ, ZOSTAWIAJĄC JĄ Z RAMIONAMI WYCIĄGNIĘTYMI W STRONĘ NIEZWYKŁEJ PRZESTRZENI SPOKOJU I PIĘKNA, KTÓRE SPODZIEWAŁA SIĘ ZNALEŻĆ ZA TYMI DRZWIAMI.

— Muszę wejść. Muszę to zobaczyć. — Tak zabrzmiały jej słowa.

Sen odszedł, pozostawiając ją z tymi nienazwanymi uczuciami. Ręce miała wyciągnięte przed siebie. Patrzyła na nie, zastanawiając się, dlaczego tak je trzyma. Spojrzała przed siebie i ujrzała drewnianą bramę. John zwolnił, zajeżdżając przed dom.

— Usiłowałam znaleźć... — zaczęła mówić.

— Drzemałaś. Mówiłaś coś.

— Wewnątrz w holu stoi mój ulubiony fotel i porcelanowa pasterka...

— Teraz uspokój nerwy — powiedział. — To rzecz najważniejsza.

Myślę nad tym, jak dostać się do środka.

— Pod wycieraczką jest klucz — powiedziała cicho. — Dom jest pusty.

— Tak było w twoim śnie. Ale teraz nie można...

— Sam zobaczysz — powiedziała.

Znalazł klucz. Gdy drzwi się otworzyły, spojrzał na nią z podziwem.

— Jak dotąd, dobrze ci idzie. Widocznie posiadasz dar jasnowidzenia. Wchodź więc, a ja podążę za tobą.

Wnętrze było zaciemnione i zakurzone, od dawna nie używane. Panowała tam nieco grobowa atmosfera. Melindę przeszedł dreszcz. Objęła się ramionami. Było bardzo zimno. Weszli do holu, gdzie pokazała Johnowi fotel i porcelanową figurkę. Wtedy zauważyła coś, czego nie widziała we śnie. Fotografie. Fotografie rodzinne. Jedna z nich zwróciła jej szczególną uwagę. Oparła się na ramieniu Johna.

— Spójrz — powiedziała.

— Co takiego?

— T-ta kobieta. — Wskazała na zdjęcie. Widniała na nim jakaś arystokratyczna dama o srebrnych włosach. — To jest Anna.

— Anna?

— Jego matka.

— Ach?

— Zawsze kłóciliśmy się z jej powodu. Była zbyt zaborcza...

— Tak, ale czyj... — urwał, gdy spostrzegł, że go nie słucha. Podążył za jej wzrokiem.

Melinda patrzyła na zdjęcie wiszące na drugim końcu ściany. Zakołysała się i byłaby upadła, gdyby John jej nie przytrzymał.

Posadził ją na starej cedrowej skrzyni, przykrytej miękkim kocem. Położyła się, a on wsunął jej pod głowę poduszkę.

— Unieś nogi i leż tak, aż poczujesz się lepiej. Jesteś blada. Poczekaj chwilę, odpocznij.

Jego głos oddalał się...

STAŁA PRZED NIĄ KOBIETA, ANNA, SIWOWŁOSA, W CZARNEJ SUKNI. PATrzyŁA NA MELINDEI MÓWIŁA Z NACISKIEM;

— WEŻ SIĘ W GARŚĆ. — MELINDA ROZPOZNAŁA PEŁEN GODNOŚCI TON. — NIE MOŻESZ GO ZOSTAWIĆ... ON CIĘ POTRZEBUJE... POMYŚL O NIM...

— POTRZEBUJĘ SAMOTNOŚCI — PŁAKAŁA. — NIE MOGĘ ZOSTAĆ. NIE TERAZ. MUSZĘ ODEJŚĆ... POTRZEBUJĘ SAMOTNOŚCI. MUSZĘ PRZEMYŚLEĆ WSZYSTKO. CHCĘ BYĆ SAMA...

-SAMA! SAMA! — NAŚLADOWAŁA JEJ GŁOS. — ZAWSZE MUSI BYĆ TAK, JAK TY CHCESZ! A CO Z NIM? JESTEŚ EGOISTKĄ. MYŚLISZ TYLKO O SOBIE. A CO Z NIM?

Melinda odwróciła głowę.

— Nie — wyszeptwała. — Muszę odejść. Oddaliła od siebie obraz tej kobiety i wtedy pojawiły się przed jej oczami inne głosy i twarze.

WYSOKI MEŻCZYZNA O SKUPIONYM WYRAZIE TWARZY, W OKULARACH. PATrzyŁ NA NIĄ Z SYMPATIA. NIE MÓWIŁ DO NIEJ, ALE DO INNEGO MEŻCZYZNY, KTÓREGO ONA NIE MOGŁA DOJRZEĆ. TEN MIŁY CZŁOWIEK MÓWIŁ JAK LEKARZ.

— ONA MUSI WYJECHAĆ, TU JEST ZBYT DUŻO LUDZI... ONA POTRZEBUJE SPOKOJU. W TEJ CHWILI NIE POTRAFI SIĘ Z TYM UPORAĆ. POZWÓL JEJ ODEJŚĆ... ONA POTRZEBUJE CZASU...

Melinda kiwnęła głową, przyznając rację lekarzowi.

—Tak, daj jej trochę czasu — powiedziała cicho. — Pozwól jej odejść. Ona powinna wyjechać. Ona nie potrafi żyć z tobą po tym, jak...

— NIE — POWIEDZIAŁ TEN DRUGI MĘŻCZYŻNA. — ONA ZOSTANIE TUTAJ.

Na dźwięk jego głosu Melinda zaczęła szybciej i gwałtowniej oddychać. Och, знаła jego głos! Jak dobrze go znała! Był jej miłością, jej namiętnością, jej udreką...

Ten ktoś mówił dalej:

— ... NIE MOGĘ POZWOLIĆ JEJ ODEJŚĆ. NIGDY PRZEDTEM MNIE NIE OPUSZCZAŁA. NIE ZNIÓSŁBYM...

Melinda potrząsnęła gwałtownie głową, wciąż leżąc na skrzyni.

— Nie! Nie! Nie zmuszaj jej, by została! Ona musi odejść. Pozwól jej odejść... — Znów potrząsnęła głową.

— Spokojnie, Melindo. Spróbuj się uspokoić. Po prostu leż cicho. — To był John. Siedział na brzegu skrzyni. Trzymał jej dłoń i gładził delikatnie. Otworzyła oczy. Spojrzała w górę i ujrzała nad sobą pełną współczucia twarz Johna. Jednak ponownie je zamknęła, wtulając się w miękkie, grube koc.

SŁYSZAŁA PRZYTLUMIONĄ ROZMOWĘ, TAK JAKBY DOBIEGAŁA ONA Z SAŚIEDNIEGO POKOJU. Starła się rozpoznać głos mówiącego mężczyzny. Zmarszczyła brwi. Usiłowała dopasować ten głos do twarzy, ale nie potrafiła. Wszystko brzmiało zbyt niewyraźnie.

Nasłuchiwała uważnie.

— JEŚLI POZWOLEŃ JEJ ODEJŚĆ, TO MOGĘ STRACIĆ JĄ NA ZAWSZE, A TEGO BYM NIE ZNIÓSŁ.

Każde słowo sprawiało jej ból. Usiłowała ponownie skojarzyć głos z twarzą, której jednak wciąż nie mogła sobie przypomnieć. POTEM MÓWIŁ LEKARZ:

— ... NIE POSŁUCHA MOJEJ RADY. NIEZNANY MĘŻCZYZNA
POWIEDZIAŁ

COŚ ŚCISZONYM GŁOSEM. TŁUMACZYŁ LEKARZOWI,
DLACZEGO NIE CHCE DOSTOSOWAĆ SIĘ DO JEGO ZALECEŃ.
WEDŁUG NIEGO, NAJLEPIEJ BĘDZIE, JEŚLI MELINDA...

Melinda! TERAZ ZNOWU MÓWIŁ LEKARZ. PRÓBOWAŁ
PRZEKONAĆ TEGO MĘŻCZYZNĘ, BY POZWOLIŁ JEJ ODEJŚĆ,
SKORO ONA TEGO CHCE.

Melinda zacisnęła mocno powieki i po raz kolejny usiłowała
przypomnieć sobie twarz tego mężczyzny. Z początku obrazy pojawiające
się w jej umyśle były niewyraźne. Twarz zmieniała się i poruszała tak, że w
końcu powstało wiele nierozpoznanych, obcych jej wizerunków. Próbowiała
uporządkować obrazy. Starła się w miejsce luk wstawić brakujące
fragmenty. Ujrzała ZŁOTY ODBŁASK SŁOŃCA NA JASNYCH
WŁOSACH.

Nagle uświadomiła sobie coś... Ten mężczyzna istniał nie tylko w jej
przeszłości, ale również w jej obecnym życiu. On posiadał klucz do jej
pamięci i musiał go przed nią ukrywać. Dlaczego?

Wciąż słyszała rozmowę lekarza z nieznanym mężczyzną. Znów
spróbowała dopasować twarz do głosu. Znała lekarza. Potrafiła przywołać z
pamięci jego obraz. Nawet wiedziała, jak się nazywał. DOKTOR
MACDONALD. MĘŻCZYZNA W ŚREDNIM WIEKU, RACZEJ
KORPULENTNY, W KAMIZELCE, Z ZEGARKIEM NA ŁAŃCUSZKU.
STOJĄC MIAŁ ZWYCZAJ UNOSIĆ SIĘ NA PALCACH. ZNAŁA GO
DOBRCZE. ZAWSZE PODZIWIAŁA JEGO NIEZWYKŁĄ PROSTOLI-
NIJNOŚĆ. NIEZNANEMU MĘŻCZYŹNIE NIE PODOBAŁO SIĘ TO, CO
MÓWIŁ LEKARZ. ALE TO NIE MIAŁO ZNACZENIA. DOKTOR BYŁ

PRZEKONANY O SŁUSZNOŚCI SWOICH POSTANOWIEŃ. BYŁ UPARTY. NIE CHCIAŁ DAĆ ZA WYGRANĄ. NIEZNAJOMY MĘŻCZYZNA PRZERWAŁ LEKARZOWI. BYŁ ZDECYDOWANY. MÓWIŁ WŁADCZYM TONEM. ON RÓWNIEŻ NIE CHCIAŁ DAĆ ZA WYGRANĄ.

— TO MOŻE OKAZAĆ SIĘ DLA NIEJ ZGUBNE... NIE MOGĘ NA TO POZWOLIĆ.

Znów coś zabłysło w jej pamięci. Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz spróbowała skojarzyć głos z twarzą. Pojawił się niewyraźny obraz. CZUPRYNA JASNYCH WŁOSÓW I OCZY, PRZENIKLIWE, BYSTRE OCZY. Serce zaczęło jej bić szybciej. Nagle przypomniała sobie rysunek, który kiedyś zrobiła w notesie. To było kilka tygodni temu, a miała wrażenie, że całe wieki upłynęły od momentu, gdy rysowała to, siedząc w swoim biurze w redakcji dziennika, "Brisbane". Te oczy, uśmiech... wędkarz... znoszone spodnie...

— ADAM! — wykrzyknęła, tracąc oddech. To odkrycie bardzo ją poruszyło. Wszystko w jej głowie zaczęło wirować. Zagadkowe obrazy nagle zaczęły do siebie pasować. O tak, to był Adam, ten nieznajomy mężczyzna, którego głos jeszcze teraz rozbrzmiewał w jej głowie,

— ADAM! — Świadoma była tego, że wymawia głośno jego imię. Poczula przy sobie ramiona Johna. — ADAM! ADAM! ADAM!

— Cii — uspokajał ją John. — Już dobrze.

Dziwne... Przygarnął ją teraz tak, jakby czekał właśnie na ten moment, gotowy ukoić jej ból.

A ból był bardzo silny! Pojawił się strach, poczucie zagubienia i smutku.

— Adam! — powiedziała z histerią w głosie. — To był Adam...

— Cii — mówił John. — Wiem, że cierpisz, ale jestem tutaj. Staraj się uspokoić.

— Ten sen! — Wtuliła się w przyjaciela. — Znowu się zaczyna! Ale to nie sen. To się dzieje na jawie. W rzeczywistości!

Zaczął gładzić jej włosy, choć wiedział, że w tej chwili nic to nie pomoże.

Nagle Melinda usiadła. John zabrał ręce z jej ramion, ale nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy.

— Nie chcę dłużej tu być. Nie mogę.

— Nie możesz tego tak pozostawić — powiedział cicho.

Rozejrzała się wokół, jakby szukając jakiejś drogi ucieczki. Znowu spojrzała na zdjęcia wiszące na drugim końcu ściany. Wstała powoli, trzymając Johna za rękę. Pomógł jej tam podejść.

Ujrzała spokojne szare oczy z jej snu. Patrzyły na nią i były takie same, jak na jej rysunku. Tego ciepła płynącego z tych oczu szukała za drzwiami, które w jej śnie nie chciały się przed nią otworzyć. Nie wyglądała na więcej niż trzy latka, mimo to był dość duży.

Wzięła głęboki oddech. Następny obraz znalazł miejsce w jej układance.

Nie zauważyła wcześniej innego zdjęcia wiszącego po prawej stronie. Była pewna, że gdy spojrzy tam, ujrzy twarz Adama. Już wiedziała, że ten mały chłopiec to jego syn. I jej syn. Wciąż patrzyła na twarz dziecka.

— To Jeremy — powiedziała, odwracając oczy. John kiwnął głową. Była zbyt pochłonięta własnymi uczuciami, by zauważyć, że on już wcześniej o tym wiedział.

— Tak — powiedział.

Odetchnęła głęboko. Wspomnienia, które wcześniej pojawiały się jak przelotne błyski, teraz zaczęły napływać jak rwąca rzeka. Zakryła twarz dłońmi, jakby chciała to powstrzymać. Zamknęła oczy.

Minuty upływały. W końcu uniosła powieki. John spojrzał na nią z przestraszeniem. Miła szeroko otwarte oczy. Milczała. Wyglądała tak, jakby czegoś nasłuchiwała. Zrobiła krok w tył i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

— Słyszysz to? — wyszeptała. Patrzył na nią w milczeniu.

— Słyszysz to czy nie? — zapytała raz jeszcze. Zauważyła zdziwienie w jego oczach. „On sądzi, że oszalałam” — pomyślała. Starła się zachować spokój. Jej głos musi brzmieć normalnie... Niestety, zaschło jej w gardle i to co mówiła, brzmiało bardzo ochryple.

— Nie słyszysz tego? Musisz to słyszeć...

— Myślę, że to część twojego snu — powiedział.

— Nie! — Zapłakała. — To nie jest sen! Ktoś jest przed garażem... — Jej słowa zamieniły się w przerażający lament.

Wówczas i on coś usłyszał. Zauważyła zmianę na jego twarzy. Metaliczny zgrzyt resorów, a potem głuchy szczełk otwieranych drzwi. Wiedziała, że John usłyszał ten dźwięk tak samo wyraźnie, jak ona. Mijały sekundy, a oni stali w bezruchu, wpatrzeni w siebie, nasłuchujący.

— Słyszałeś to, prawda? — wyszeptała w końcu. Powoli kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Warkot silnika rozbrzmiewał w całym domu. Jej oczy zabłysły.

— ON TU JEST! ADAM JEST TUTAJ!

Rozdział dziewiąty

Miała wrażenie, że warkot samochodu rozsadzi jej głowę. Ogarnął ją nagły, niezrozumiały strach. Towarzyszyło mu znane już Melindzie uczucie złości. Czas się zatrzymał. Rzeczywistość wokół niej zaczęła się rozplýwać jak we mgle. Poruszyła się. Usiłowała biec, ale mogła jedynie bezładnie poruszać nogami. Skierowała się w stronę, skąd dobiegał dźwięk samochodu. Usłyszała zmianę w pracy silnika. Ktoś miał zamiar wyjechać z garażu.

SAMOCHÓD RUSZYŁ!

Znowu usiłowała biec, ale miała wrażenie, że jakieś niewidoczne ręce powstrzymują ją. Jej nogi zaczęły drżeć.

„To ostatnia chwila — pomyślała. — Dłużej tego nie zniósę. Muszę wydostać się stąd, by uchwycić to i już nigdy tego nie wypuścić. ”

„UCIEKAJ STĄD. PORZUĆ TO — MÓWIŁ GŁOS DEMONA. — WTEDY BĘDZIESZ BEZPIECZNA. NIE BĘDZIESZ JUŻ CZUŁA BÓLU. ”

„Nie — buntowała się. — Muszę to odwrócić i spojrzeć na to. Zniósę ból. John jest tutaj. On mi pomoże. Mogę na niego liczyć. ”

Powoli przedostała się na drugi koniec holu. *MUSZĘ SIĘ TAM DOSTAĆ. MUSZĘ DOSTAĆ SIĘ TAM NA CZAS* — myślała.

Pobiegła w kierunku drzwi.

— Me-lin-da! — Głos Johna brzmiał tak, jakby oddalony był od niej o wiele mil.

— Później, John, nie teraz... — Nieubłaganie przenosiła się w przeszłość. „Muszę wrócić — mówiła do siebie. — Muszę wyjść i zobaczyć to. ”

Światło przygasło, jakby nagle nastał wczesny ranek.

Melinda wróciła pamięcią do tamtego dnia.

ADAM WYJEŹDŹAŁ DO PRACY. Zapisał silnik samochodu, ale była zbyt zdenerwowana, by to zauważyć. Właśnie wstawiała do zlewu naczynia pozostawione po śniadaniu. Adam hołdował konserwatywnym poglądom, tak samo jak JEGO MATKA! Nie chciał, by jego żona pracowała. Twierdził, że miejsce kobiety jest w kuchni.

Na stole leżał materiał przeznaczony na zasłony. "Do diabła z nowymi zasłonami! Do diabła z ADAMEM!"

Adam chciał, by zawiesiła te zasłony na trzecie urodziny Jeremiego. Ona i dziecko siedzieli tu przez cały tydzień, z wyjątkiem krótkich wyjazdów do Melbourne, tylko dlatego, że matka Adama dała im nowy materiał na zasłony i obraziłyby się, gdyby...

Silnik odezwał się głośniejsze i w tym momencie Melinda uświadomiła sobie, że zapomniała zamknąć drzwi po wyjściu Adama. Zaniepokoiła się o syna. Gdy usłyszała zgrzyt plastikowych kółek rowerka przejeżdżającego przez trawnik, coś jak lód zmroziło jej serce.

— JEREMY! — krzyknęła.

Wybiegła z kuchni. Widziała samochód. Wiedziała, że Adam może mieć w tym momencie odwróconą głowę. Mógł teraz patrzeć w dół przez okno, by kontrolować odległość pomiędzy samochodem a ścianą garażu. PRÓBOWAŁA GO ZATRZYMAĆ, ALE ON NIE SŁYSZAŁ. Nagle mignęły jej przed oczyma niebieskie spodnie syna.

Trawnik opadał aż do podjazdu w dół i rower zjeżdżał teraz siłą rozpędu. Jeremy spieszył się. Nie dostał pożegnalnego całusa.

— TATO! — wołał do Adama.

Ale Adam go nie słyszał. Nie słyszał też rozpaczliwego krzyku Melindy, gdy rower zaczął zbliżać się do wyjazdu z garażu. Melinda zbiegła po schodach. Minęła trawnik.

I wtedy potknęła się o betonowy krawężnik. Upadła, wyciągając ręce w kierunku syna. MAŁE KAMYCZKI WBIŁY SIĘ W SKÓRĘ JEJ DŁONI I KOLAN. Głową uderzyła w cementową nawierzchnię drogi.

BYŁO JUŻ ZA PÓŹNO... Zapiszczały hamulce. Dał się słyszeć głuchy odgłos uderzenia, po czym rozległ się krzyk dziecka. MELINDA CZOŁGAŁA SIĘ PO DRODZE NA KRWAWIĄCYCH DŁONIACH I KOLANACH. PŁACZĄC WYMAWIAŁA IMIĘ SYNA.

ZA PÓŹNO... Adam wysiadł z samochodu, oniemiały z przerażenia.

Melinda objęła ciało dziecka. Wokół zapanowała cisza. Słyszać było tylko jakieś zgrzytanie: to plastikowe koła przewróconego rowerka ocierały o metalową oś.

NA KRÓTKĄ CHWILĘ ZŁOTE RZĘSY DZIECKA UNIOSŁY SIĘ. JEGO SZARE OCZY SPOJRZAŁY NA MELINDĘ. PORUSZYŁ USTAMI, A ONA POCHYLIŁA SIĘ KU NIEMU. Z POCZĄTKU NIC NIE SŁYSZAŁA. CHŁOPIEC PATRZYŁ NA NIĄ I UŚMIECHAŁ SIĘ. W KOŃCU RESZTKAMI SIĘ WYSZEPTAŁ: „MAMO... ”

To, co działo się potem, było dla Melindy już niezrozumiałe. Jakies głosy wołały ją po imieniu. Słyszała wycie syren ambulansu. Ktoś zabrał z jej ramion syna. Przyciągnęła do siebie mały rowerek i objęła go tak, jak wcześniej dziecko. Powoli kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył...

Ktoś odebrał jej rowerek. Poczowała obejmujące ją ramię.

— Chodźmy. Nie ma potrzeby tu siedzieć... — powiedział sanitariusz.

Ale ona nie poruszyła się. Wyglądała tak, jakby te słowa do niej nie docierały. Wtedy Adam podniósł ją i zaniósł do domu. Nie było światła... Coś ukuło ją w ramię... Wszystko zaczęło się rozpląwać się we mgle... Doktor MacDonald odwrócił się do Adama, na którego twarzy malował się smutek.

Noce i dni nie różniły się od siebie. Twarze pojawiały się i znikaly. Melinda słyszała ściszone rozmowy za drzwiami swego pokoju. Wszystko wokół niej było niewyraźne, jakby przysłonięte mgłą. Ten stan nie pozwalał jej poznać do końca bezlitosnej prawdy o tym, co się wydarzyło. Jakiś głos za drzwiami powiedział: "Bez zmian... Żadnej poprawy... "

Obudziła się w obcym łóżku. Słyszała skrzypienie metalowych wózków na kółkach. Nie była w domu. Nie znała żadnej z otaczających ją twarzy.

W jej pokoju pojawiali się ludzie, których imion nie znała, po czym po kilku chwilach wychodzili.

Tylko jeden zostawał dłużej, poważny jasnowłosy mężczyzna. Odwracała twarz do ściany, gdy próbował z nią porozmawiać. Mówił smutnym głosem, przez co i jej robiło się smutno. Nie wiedziała, dlaczego obecność tego człowieka wywołuje w niej złość.

Pewnego razu przyniósł jej książeczki bankowe, karty kredytowe i prawo jazdy — dokumenty pozwalające ustalić jej tożsamość. Na nie również nie chciała patrzeć. Powiedziała mu, że zdecydowała, iż będzie używać swego panieńskiego nazwiska, Cameron. Kazała zabrać karty i prawo jazdy, oświadczając, że ZAMIERZA ZACZAĆ NOWE ŻYCIE. Wychodząc dał jej trochę pieniędzy, za które podziękowała.

Jego szare oczy przepełnione były smutkiem, gdy żegnał się z nią po raz ostatni. Ona zaś nie czuła w tym momencie żadnego wzruszenia. Dopiero potem zaczęła płakać. Wtedy właśnie postanowiła zapomnieć o tym mężczyźnie.

Melinda zaprzyjaźniła się z jedną z opiekunek pracujących w szpitalu. Susie Saunders miała dwadzieścia kilka lat. Często się śmiała i była wobec wszystkich serdeczna. Gdy Melinda postanowiła opuścić szpital, Susie nie uznała tego za dobry pomysł. Mimo to pomogła znaleźć Melindzie pracę i mieszkanie.

Na początku Melinda pracowała w Centrum Opieki nad Dziećmi, w którym Susie dwa razy w tygodniu udzielała porad młodym matkom. Dzieci irytowały Melinę. Czuła się tam bardzo zagubiona. Pewnego dnia jedna z matek zauważyła obrączkę na palcu Melindy i zapytała ją o dzieci. Melinda potrząsnęła głową, a potem, gdy wróciła do domu, zdjęła obrączkę i nigdy jej już więcej nie włożyła.

W ciągu dnia dużo pracowała, wieczorami zaś, kiedy dokuczała jej samotność, pisała. Zawsze to robiła, zanim... zanim...

Luka w jej pamięci stawała się coraz większa. Melinda zapomniała już prawie wszystko, co wydarzyło się w jej życiu przed śmiercią syna.

Któregoś dnia napisała artykuł dotyczący problemów młodych matek, z którymi spotykała się w Centrum. Sprzedała to lokalnej gazecie, jednemu z tych podmiejskich tygodników funkcjonujących dzięki reklamom.

W owym czasie całe dni spędzała sama w domu, więc poświęciła temu artykułowi dużo czasu i pracy. Zamieściła w nim cytaty z liczących się opracowań, a swoje własne tezy poparła wypowiedziami znanych specjalistów. Artykuł został zauważony przez naczelną redaktorę państwowego magazynu dla kobiet

Zaprosiła Melindę na obiad. W czasie rozmowy przy sałatce i ryżu, a potem kawie i likierze, Melinda dostrzegła, że elegancko ubrana Katherine Tracy uważnie ją obserwuje.

— Podoba mi się twój styl — powiedziała Katherine. — Jesteś sumienna i dokładna. Masz trochę doświadczenia w pracy w dużym dzienniku, prawda? A teraz nie pracujesz w pełnym wymiarze? — Zielone oczy Katherine spoglądały na nią ciekawie.

— Tak — powiedziała.

Nie chciała opowiadać swojej przeszłości. Wymyśliła całkiem wiarygodną historię o niedawnej śmierci swego męża. Wyjaśniła, że zanim to się stało, nie musiała traktować swej pracy dziennikarskiej jako głównego źródła dochodów.

Katherine, popijając kawę, kiwała ze zrozumieniem głową.

Melinda pracowała dla Katherine przez osiem miesięcy. Nauczyła się pisać reportaże i pokochała tę pracę. Jednakże po pewnym czasie zaczęło ją nużyć powolne tempo pracy w tygodniku. W tym czasie zwolnił się etat w dzienniku w Brisbane. Melinda skorzystała z okazji i przeniosła się tam.

Nie zdawała sobie sprawy, że Adam śledził każdy jej ruch. Nie wiedziała też, że podążył za nią do Brisbane.

Rozdział dziesiąty

Przeszła przez próg domu i zawahała się. Odwróciła głowę i zobaczyła Johna, który przez cały czas był przy niej. Złapała go za rękę. Była blada i patrzyła na niego pytającym wzrokiem. Czy to był sen, czy też to wszystko wydarzyło się naprawdę? Czy w rzeczywistości słyszała samochód Adama?

John trzymał jej dłonie. Kiwnął głową i uśmiechnął się do niej.

— Lepiej będzie, jeśli pójdziesz do niego — powiedział. — Ja zaczekam w swoim wozie.

Wyszła przed dom i zobaczyła Adama wyjeżdżającego samochodem z garażu.

Nie, to nie był sen. Żaden rowerek dziecięcy nie przejeżdżał przez trawnik. Melinda była bardzo zdenerwowana. Nagle uświadomiła sobie, że rozpoznała twarz kierowcy pojawiającego się w jej wizjach. Teraz wszystko stało się jasne. Kierowcą był Adam. Tamtego dnia pokłócili się i Adam bardzo rozdrażniony wyszedł z domu w pośpiechu.

Melinda pomyślała w synu. O tym, jak dała mu życie, dbała o niego, kochała go i straciła...

Pomyślała też o kłótni z Adamem. To była jakaś głupia sprzeczka dotycząca jego matki. Teraz nie miało to już znaczenia, wtedy zresztą też nie miało. Ale to przez tę kłótnię właśnie zupełnie zapomnieli o dziecku. „Nie byłaś w stanie uważać na niego cały czas” — powtarzała sobie Melinda. Wiedziała jednak, że to tylko próba usprawiedliwienia siebie i zrzucenia całej winy na Adama.

Adam odwrócił głowę i ujrzał Melindę stojącą przed domem. Zobaczył rozpacz malującą się na jej twarzy. Wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu i

podszedł do niej. Zrobił gest, jakby chciał ją objąć, ale zatrzymał się i opuścił ręce.

Widziała niezdecydowanie w jego oczach. „On jeszcze nie wie, czy przypomniałam sobie wszystko, czy też nie. Tak bardzo starał się mi pomóc. Przysłał mnie tutaj, mówił, że mam sobie zadawać pytania... Cały czas o wszystkim wiedział. Czekał i nie tracił nadziei” — myślała, przyglądając mu się uważnie.

— Adam, przypominałam sobie wszystko — powiedziała.

Zbladł. Stał bez ruchu. Po chwili wyciągnął ręce, jakby chciał ją wziąć w ramiona, ale opuścił je szybko. Próbował odzyskać spokój.

— Słyszałem, jak przyjechaliście. Wyszedłem tylnymi drzwiami. Byłem tu w domu. Wyjechałem z Brisbane zaraz po was. Teraz zszedłem na dół dowiedzieć się, jak się czujesz. Nie mogłem tam stać

I zastanawiać się, czy... Ale teraz pomyślałem, że może wolisz, żebym odjechał... — Wyraz jego twarzy zmieniał się. Wyglądał teraz tak, jakby za chwilę miał się rozplakać. — Wiesz, któreś nocy w Brisbane podjechałem pod twój dom, bo nie mogłem już tego znieść. Chciałem opowiedzieć ci o wszystkim. Ale gdy byłem już pod twoim oknem, rozmyśliłem się. Wtedy postanowiłem czekać bez względu na to, jak bardzo bym cierpiał.

— Widziałam twój samochód, ale nie byłam pewna, czy to ty — powiedziała.

— Wróciłem do domu, a wtedy ty zadzwoniłaś. Byłaś zrozpaczona. Przyjechałem do ciebie. Spędziłem u ciebie noc, pamiętasz? Gdy obudziłaś mnie następnego dnia, znowu chciałem ci o tym powiedzieć i niemalże to zrobiłem.

— Pamiętam.

— Nadzieja, że mogłabyś mnie znowu pokochać, była jedyną rzeczą, która dodawała mi sił. — Zamilkł na chwilę. Spuścił głowę. Sprawiał wrażenie, jakby szukał czegoś pod stopami. — Czy będziesz mogła... pokochać mnie znowu? — zapytał ściszym głosem.

Nie odpowiedziała od razu. Nie mogła pozbierać myśli. Zbyt wielu rzeczy dowiedziała się dzisiaj.

— Mam... mętlik w głowie... Potrzebuję trochę czasu...

— Jesteś całym moim życiem, Lindo — powiedział wzruszonym głosem.

— Linda —powtórzyła. — Tego dnia, gdy łowiliśmy ryby, kiedy zasnąłeś na plaży... Przez sen wymawiałeś imię kobiety.

— Tak?

— Wydawało mi się, że to brzmiało jak Glenda lub Amanda... Gdy powiedziałam ci o tym, zaprzeczyłeś. Wiedziałeś, że mówiłeś „Linda”, prawda?

— Tak, tak pomyślałem.

— A w tę noc, gdy byliśmy u ciebie... Odwiozłeś mnie wtedy do domu. Zabolało mnie to. Dlaczego to zrobiłeś?

— Tak jak mówiłem, straciłem panowanie nad sobą i pomyślałem sobie, że nie mógłbym...

— Spać ze mną?

— Tak.

— Dlaczego nie? Chciałam tego.

— To byłoby nie w porządku wobec ciebie. Nie wiedziałabyś, kim naprawdę jestem. Może gdybyś wiedziała, nie chciałabyś tego...

— Rozumiem. — Zamilkła na chwilę. — Teraz widzę, jak bardzo starałeś się mi pomóc. Jest tu jeszcze coś, co muszę zobaczyć. To nie będzie

dla mnie łatwe. Chciałabym, żebyś poszedł tam ze mną. Pójdziesz? — zapytała, podając mu rękę.

Weszli do domu i stanęli przed portretem Jeremy'ego.

Następnie Melinda ze łzami w oczach zaprowadziła Adama pod drzwi pokoju na końcu korytarza.

Tych drzwi we śnie nie mogła otworzyć. Teraz śmiało weszła do środka.

Przygotowywała ten pokój dla Jeremy'ego przez kilka tygodni. Na zasłonkach widniały kolorowe podobizny kaczoza Donalda. Takie same zdobiły również koc na łóżku i blat małego stolika.

„Głupio zrobiłaś, wchodząc tutaj. Powinnaś była zostawić to tak, jak było” — podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos.

Ale serce mówiło jej, że zrobiła dobrze. Przecież bardzo chciała znowu znaleźć się w tym pokoju. Teraz wiedziała, że nie zamieszkuje go żadne upiory. Jeremy odszedł na zawsze. Myśląc o tym, cierpiała, ale wiedziała, że czas złagodzi ból.

Odwróciła się i spojrzała na Adama stojącego w drzwiach. Ujrzała w jego oczach smutek.

— Nie wybacysz mi tego, prawda? — Z trudem rozpoznała jego głos. Podeszła do niego.

— Nie, to nieprawda — powiedziała.

— Sam nie potrafię sobie wybaczyć — powiedział cicho.

Melinda uświadomiła sobie nagle, że przez cały ten czas smutek i poczucie winy nie opuszczały Adama ani na chwilę. Teraz opowiedział jej o nocach, kiedy wstawał z łóżka i wychodził na kilkugodzinny spacer z nadzieją, że to pozwoli mu zasnąć. Opowiedział jej o męczących go wizjach, pojawiającej się we śnie twarzy Jeremy'ego. O tym, jak cierpiał, gdy ona

patrzyła na niego w szpitalu obojętnym wzrokiem, o wszystkim, co przeżył. W końcu jednak przestał mówić i spojrział na Melinę.

— Przepraszam. Nie powinienem był mówić tego wszystkiego... Ale przez tak długi czas nie miałem z kim o tym porozmawiać...

Stała nieruchomo, zapatrzona w niego i milcząca. Po chwili ciszy uniósł głowę i spojrział jej w oczy.

— Widzę to na twojej twarzy. Dobrze wiesz, że nigdy nie będziesz w stanie mi wybaczyć i już nigdy nie będziesz mogła...

Jego głos przepelniony był rozpaczą. Melinda usiłowała zebrać myśli.

— Nie rozumiesz... — zaczęła i przerwała na chwilę. — Oskarżałam cię i podświadomie nienawidziłam. Na pewno domyślałeś się tego.

Kiwnął w milczeniu głową.

— Zapominając o przeszłości, bardzo wiele sobie ułatwiłam. Pozbyłam się poczucia winy. Nie tylko ty winien jesteś śmierci Jeremy'ego. To ja powinnam była wtedy na niego uważać.

Znowu zapanowała cisza. Kiedy chciała mówić dalej, powstrzymał ją odgłos kroków na korytarzu. Melinda odwróciła głowę i zobaczyła Annę.

Przez jakiś czas patrzyły na siebie w milczeniu. Anna miała na sobie doskonale uszytą sukienkę, ale widać było, że ostatnie miesiące nie były dla niej łatwe. Wyglądała o kilka lat starzej. Jej wargi wyrażały rozgoryczenie. Na jej twarzy pojawiło się kilka głębokich zmarszczek.

Ujęła dłoń Melindy i uśmiechnęła się mówiąc:

— Moja droga, tak bardzo się o ciebie martwiliśmy, prawda, Adamie?

Adam nic nie odpowiedział. Anny jednak nie wprawiło to w zakłopotanie.

— Zostaw nas teraz — powiedziała do niego. — Chciałabym przez chwilę porozmawiać z Meliną.

Adam spojrzał na żonę pytającym wzrokiem: „Chcesz, abym odszedł”? Ona odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym rezygnacji: „A co możesz zrobić?”.

Zostawił je same. Wyszedł na zewnątrz. Melinda słyszała jego kroki na podjeździe, tam gdzie John czekał w swoim samochodzie.

Melinda czuła wzrastające w niej napięcie. Spodziewała się, że teściowa wypomni jej tak długą nieobecność.

Czekała.

Anna odwróciła głowę i spojrzała na oddalającą się sylwetkę Adama. Nie odzywała się przez długi czas. Melinda zauważyła, że jej teściowa z trudem powstrzymuje się od łez. Anna spuściła głowę. Po chwili znowu ją uniosła.

— Moja droga, jesteś zbyt chuda.

To była cała Anna. „Jesteś zbyt chuda, moja droga. Należysz do niewłaściwych klubów, moja droga. Nie działasz w żadnej instytucji charytatywnej. Nie przyjmujesz właściwych ludzi. ”

— Anno, nie sędzę, aby to był właściwy czas i miejsce, by rozmawiać na temat kilku zgubionych kilogramów.

— Wiem, moja droga. Takie uwagi nic tu nie pomogą, prawda?

Mówiła zupełnie spokojnym głosem, ale znowu widać było, że stara się powstrzymać łzy. Milczała przez długą chwilę.

— Prawda jest taka, że tęskniłam za tobą— odezwała się znowu. — Wszystko się zmieniło, odkąd... Adam stał się taki milczący, taki zamknięty po tym, jak ty... Prawie w ogóle się do mnie nie odzywał... Czasami myślałam, że obwinia mnie.

— Obwinia ciebie? — powtórzyła Melinda.

— Tak, moja droga, ty nie możesz zapomnieć... Dzwoniłam do ciebie tego ranka. Zaprosiłaś mnie na obiad. Mówiłaś, że chcesz wrócić do dziennikarstwa.

Melinda milczała.

— Wówczas robiłam ci wymówki. Chyba za bardzo uniosłam głos. Mówiłam o macierzyństwie, pracy w domu, przyjmowaniu przyjaciół Adama. Zresztą, wiesz, co mówiłam, moja droga.

— Tak. — Melinda uśmiechnęła się smutno na to wspomnienie. — Pamiętam, co powiedziałaś.

— Rozgniewałam cię. Adam powiedział mi, że po naszej rozmowie pokłóciliście się. — Zamilkła i sięgnęła do torebki. Wytarła oczy chusteczką. — Przez ostatnie miesiące żyłam ze świadomością, że gdybym wtedy nie dzwoniła do ciebie, gdybym nie mówiła w ten sposób... mały Jeremy byłby do dziś wśród nas. To była moja wina... — Głos jej się zламаł.

Melinda otoczyła ją ramionami i ucałowała.

— Zawsze, gdy stanie się coś złego, człowiek powraca myślami do przeszłości i powtarza sobie: „Gdybym nie zrobiła tego. Gdybym zamiast tego zrobiła tamto... ”

Anna kiwnęła głową i wytarła chusteczką nos.

— Takie rozważania są bezsensowne. Jeremy już odszedł. Wiem, że jeszcze przez długi czas nie będę mogła się z tym pogodzić. Nigdy go nie zapomnę, ale nie mam zamiaru żyć przeszłością. — Spojrzała Annie prosto w oczy. — Przez ostatnie kilka miesięcy pracowałam w gazecie w Brisbane... I nie zamierzam tego porzucić...

Anna patrzyła na nią z rezygnacją.

— Tak, moja droga. Dużo sobie przemyślałam przez te ostatnie miesiące. Doszłam do wniosku, że moje dotychczasowe życie zamykało się w kręgu ludzi o raczej ograniczonych poglądach na wiele spraw. Obserwowałam młode kobiety w twoim wieku i zrozumiałam, że należysz do innego, nowego pokolenia, które nie akceptuje starych wartości. Teraz kobiety pracują jako lekarze, prawnicy, księgowi, a nawet są inżynierami. Chcą utrzymać tę swoją pozycję. W końcu, dlaczego nie?

„To zabawne — pomyślała Melinda z rozbawieniem. — Anna łaskawie zdecydowała się przyznać mi rację. ”

— Jestem pewna, moja droga, że wiesz, czego chcesz. Dużo wcześniej powinnam była ci zaufać. W każdym razie, szkoda tracić czas na kłótnie. Wpadłam tu, by zobaczyć się z Adamem. On jest naprawdę BARDZO nieposłusznym chłopcem. Dopiero wczoraj zadzwonił do mnie i powiedział o swym przyjeździe. Oczywiście, nie wiedziałam, że ty również tu jesteś. Cieszę się, że znowu masz się dobrze, moja droga. Teraz muszę lecieć. Pani Murchison zaprosiła mnie na kolację.

„Ach... jednak Anna pozostała sobą. Wciąż żyje koktajlami, wciąż stara się nawiązywać nowe "dobre znajomości"— pomyślała Melinda, odprowadzając teściową do samochodu.

Adam rozmawiał z Johnem. Podszedł teraz, by pożegnać się z matką. Gdy Anna odjechała, John przyłączył się do nich.

— Melindo, nie chcę cię przynaglać, ale obiecaliśmy...

— Zupełnie straciłam poczucie czasu — odpowiedziała, spoglądając na zegarek. — Przepraszam cię, Adamie. Obiecaliśmy znajomym, że zjemy z nimi dziś obiad.

John spojrzał przepaszająco na Adama.

— W porządku, rozumiem — powiedział Adam.

Kiedy szli do samochodu. Melinda usłyszała, jak John zapytał szeptem Adama:

— Wszystko w porządku?

Adam tylko nieznacznie poruszył głową. Potem usłyszała tylko kilka słów:

— ... zostać tutaj. Ja sam wrócę.

— Niech ona zdecyduje — odpowiedział cicho Adam.

Gdy doszli do samochodu, John odwrócił głowę i zapytał:

— Melindo, jedziesz?

— Zaczekaj chwilę — powiedziała. — Zaraz wrócę. Zostawiłam torebkę w pokoju Jer... Jeremy'ego.

Wróciła szybko do małego pokoju. Rozejrzała się. Teraz była w nim sama i mogła się spodziewać nowych wzruszeń.

Podniosła z łóżka torebkę. Jeszcze raz rozejrzała się, po czym wyszła i szybko zamknęła za sobą drzwi.

Równie szybko wybiegła z domu. Na zewnątrz zobaczyła dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn.

Adam, usłyszawszy kroki, odwrócił się i zaczął iść w jej stronę.

— Chcesz z nim jechać? — zapytał, gdy byli blisko siebie.

To pytanie zawierało w sobie o wiele więcej treści niż mogłoby się wydawać. Jego oczy mówiły: „Nie opuszczaj mnie teraz... nie teraz... ”

Ścisnęła torebkę. Opuszki jej palców pobieleły od siły, z jaką naciskała metalowe zapięcie.

— Adam, muszę jechać. Obiecaliśmy. Mal i Nancy będą czekać... Wrócę jutro, wtedy porozmawiamy.

— Musisz powiedzieć „tak” lub „nie”.

— To nie jest takie proste, wiesz o tym. Nic na to nie odpowiedział.

Powtórzył tylko:

— Jedziesz z nim?

— Tak — powiedziała w końcu.

Odeszła do samochodu. John otworzył jej drzwiczki. Zanim wsiadła, spojrzała jeszcze na Adama. Patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, gdy pół godziny temu mówił: „SAM NIE POTRAFIĘ SOBIE WYBACZYĆ”.

Samochód ruszył. „Przecież nie tylko ja potrzebuję czasu, by dojść do siebie” — pomyślała.

Gdy znowu przypomniała sobie jego twarz, nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo się zmienił. Postarzał się i schudł. Cierpienie wyostrzyło rysy jego twarzy, zgasiło ogień w oczach i podkreśliło je ciemnymi smugami.

Samochód dojeżdżał już do drewnianej bramy.

— Proszę, zatrzymaj się — powiedziała Melinda. John spojrzał na nią. Zatrzymał samochód. Opuścił głowę i oparł ją na dłoniach. Milczeli przez chwilę. W końcu on podniósł oczy i spojrzał na nią znowu.

— Założę się, że nie...

— Że co?

— Że nie wrócisz tam, skoro odjechaliśmy już tak daleko. — Dotknął jej dłoni. — Odwiozę cię z powrotem do niego.

— Jak ty...

— Gdybyś mnie nie zatrzymała i tak zaraz zawróciłbym i odwiózł cię tam. On zbyt długo był sam ze swym cierpieniem. Myślę, że nie boli go tak bardzo utrata dziecka, jak utrata ciebie. On cię kocha. Potrzebuje cię.

— Tak, właśnie zdałam sobie z tego sprawę... To wszystko stało się zbyt szybko... Myślałam, że będę potrzebowała trochę czasu... ale... ale nie

mogę go teraz zostawić samego... Nie odwoź mnie. Pójdę sama. — Położyła rękę na klamce, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. — Przepróż Mała i Nancy, dobrze?

Otworzyła drzwi i wysiadła. Gdy zamknęła je, spojrzała na niego jeszcze raz przez okno.

— John?

— Tak?

— Adam wcześniej opowiedział ci całą historię, prawda?

Kiwnął głową, przechylił się i uściskał jej dłoń.

Patrzyła za nim, gdy przejeżdżał przez bramę. Potem pobiegła w górę drogi spiesząc się, by dogonić Adama, zanim wejdzie do domu.

Złapała go za ramię i odwróciła ku sobie. Spojrzał na nią. Jego twarz wyrażała niedowierzanie, ale po chwili zaczął rozjaśniać ją uśmiech.

— Czy to się dzieje naprawdę? — zapytał.

— Tak, ach... — Była zdyszana.

— Na zawsze?

— Hm, na jakiś czas. — To znaczy?

— Nie chcę rzucać pracy.

— W porządku. — Głos drżał mu lekko. — Potrzebuję cię. Któż inny wszcząłby bójkę w czasie następnego pochodu?

Zaśmiała się.

— Jest jeszcze coś.

— Co?

— Umieram z głodu. Zjadłabym omlet

— Doprawdy... Zaczynam myśleć, że nie zależy ci na mnie, tylko na tych omletach.

— Mylisz się — powiedziała.

— Naprawdę? Możesz przedstawić mi przekonujący dowód?

— Później.

— Po zjedzeniu omleta, jak sędzę.

Nagle w Melindzie odżyły wspomnienia pełne słodczy: wspomnienia miłości i radości, brania i dawania... Tak było kiedyś pomiędzy nią a Adamem. Tak mogło być i teraz. Później zaś... Uśmiechnęła się tylko.

— Znowu się pomyliłeś. Kiedy już uda mi się wrzucić do kosza kuchenny ręcznik... Spojrzała na niego znacząco.

RS